

Benedykt Józefo „Skoczek”, „Skoczowski”

**ODDZIAŁ PARTYZANCKI  
W LASACH STRZELECKICH  
KOŁO DUBIENKI**

*Motto:*

*„Powstań! Te dawne zapomniane boje  
Odnów i przywłaszcz to dziedzictwo twoje...”  
„Giaur” Byrona*

**GRANICE W OGNIU**

Dnia 1 września 1939 roku uzbrojony po zęby hitlerowski najeźdźca wtargnął od zachodu na terytorium Polski bez wypowiedzenia wojny, a 17 września bolszewickie hordy załaziły wschodnie tereny kraju z Zamojszczyzną. Z karabinami na sznurkach, w postrzępionych płaszczach, zjadając po drodze ukradkiem, aby nie widział politruk, brukiew i rzepę – szli czerwonoarmiści na piechotę, bo ich zdezelowane samochody stawały po drodze co kilka kilometrów.

Zarówno jedni, jak i drudzy mieli w swoich planach jeden cel: wytepić Polaków wszelkimi możliwymi metodami, zaś Polskę wymazać z mapy Europy.

Kraj opanowała koszmarna, potworna noc okupacyjna. Na wschodzie szalało NKWD, a począwszy od Bugu – hitlerowskie siły bezpieczeństwa. Szczególną rolę w hitlerowskich planach wyznaczono Zamojszczyźnie, tj. czterem powiatom: zamojskiemu, biłgorajskiemu, hrubieszowskiemu i tomaszowskiemu.

Generalny plan wschodni przewidywał Niemczenienie terenu nadgranicznego poprzez wysiedlanie ludności polskiej z równoczesnym nasiedleniem Niemców i po części Ukraińców. Już w listopadzie 1941 roku wysiedlono Polską ludność z siedmiu wsi położonych koło Zamościa. Do właściwej akcji wysiedleńczej przystąpiono w nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku. Do marca 1943 roku wysiedlono Polaków ze 116 wsi Zamojszczyzny, a mianowicie z 47 w powiecie zamojskim, z 15 w powiecie tomaszowskim i z 54 w powiecie hrubieszowskim. Akcję wysiedleńczą prowadziły różne oddziały SS, Gestapo, Wehrmachtu, Sonderdienst, a także nasiedleńcy niemieccy: Volksdeutsche i Ukraińcy w służbie niemieckiej.

Wysiedlenia prowadzono bezwzględnie i brutalnie: nad ranem otaczano wieś szczelnym kordonem, wysiedleńcom dawano 30 minut na spakowanie się, po czym pędzono – nawet w 30 – stopniowym mrozie – w śniegu do kolan, z tobołkami na plecach na stację kolejową, niekiedy odległą o 20 km.

Taki właśnie los spotkał rodziców autora tych wspomnień, którzy w owym czasie byli w wieku: matka – 53 lata, ojciec – 60 lat.

W przejściowym obozie w Zamościu rodziny z zasady rozdzielano (dzieci osadzano z ludźmi starymi i niedołącznymi) i lokowano w nieopalanym barakach. Kilka dni później następowała selekcja: niektórych wywożono na teren wojska warszawskiego, część do obozu w Oświęcimiu, pozostałych zaś kierowano do obozów pracy przymusowej, np. do Berlina.

Nie czyniono żadnych różnic w traktowaniu dzieci – również ładowano je do bydłych nieopalanymi wagonami i transportowano – nieraz w 20 – stopniowym mrozie – do Warszawy. Tych, którzy nie zamrzli w drodze, na dworcu w Warszawie wykupywali litościwi Warszawiacy.

Niektórym podczas wysiedlenia udało się uciec; byli to przeważnie ludzie młodzi, z których część znalazła schronienie u znajomych w tych miejscowościach, które nie były jeszcze wysiedlone, część zaś tułała się po okolicznych lasach. Służby bezpieczeństwa, a zwłaszcza ukraińska policja i wszelkiego rodzaju policyjne służby pomocnicze (m.in. nasiedleni Volksdeutsche z Besarabii), urządzały polowania na takich zbiegów.

W niektórych miejscowościach organizowano specjalne komisje ukraińskie wysiedleńczo – nasiedleńcze, będące pod ścisłym nadzorem gestapo. Ukraińskich nacjonalistów ogarnął swego rodzaju amok: zaślepieni nienawiścią do wszystkiego co polskie szli na każdą współpracę z okupantem. w gminach obsadzili stanowiska wójtów swoimi ludźmi, głównie zacierzewanymi nacjonalistami. Ukraińscy sołtysi sporządzali listy polskiej młodzieży do wysyłki na przymusowe roboty do Niemiec. Bezlitośnie ściągali kontyngenty - zabierając nawet ostatnie krowy i resztkę ziarna.

Już w kwietniu 1940 roku powstał przy starostwie w Hrubieszowie Ukraiński Komitet Powiatowy, podległy Ukraińskiemu Centralnemu Komitetowi w Krakowie. Swój udział w tym szaleństwie nienawiści mieli również duchowni ukraińscy: pop Makarczuk w Dubience nawoływał do rzezi Polaków, Arcybiskup Iłarion, który od 1940 roku kierował Eparchią Prawosławną w Chełmie, po zebraniu katolików kościoła katolickiego na Górze Chełmskiej umieścił przy jego bramach napisy: „Psom, Polakom i Żydom wstęp wzbroniony”.

Napady na Polaków przeprowadzane przez policję ukraińską początkowo w celach rabunkowych, a później jako skrytobójcze morderstwa na tle politycznym – nasilały się dosłownie z dnia na dzień. Nierzadkie były również donosy do Gestapo na Polaków. Komenda Obwodu Hrubieszów kilkakrotnie wzywała w ulotkach do zaprzestania takiej zbrodniczej działalności. Z Hrubieszowa i Chełma wysyłano do duchownych listy z ostrzeżeniem i nawołujące do opamiętania, ale nie dawało to żadnych rezultatów.

Nie było wątpliwości – Smętek powrócił i szaleje na Zamojszczyźnie: „Zapragnęli wraz wszyscy rozkoszy morderstwa i widoku męki pobitych, gdy można będzie ze śmiechem polować na uciekającą trzodę mieszkańców, dopadać wieczorem dziadów struchlałych, jak prosięta zakłuwać dzieci, ciosem skracać płacz matek szpetnych, szpetnych hoże wlec za włosy...”<sup>1</sup>

Komenda Obwodu Hrubieszów podjęła jedyną słuszną decyzję: powołała leśny oddział partyzancki w lasach strzeleckich w nadleśnictwie Maziarnia koło Dubienki.<sup>2</sup>

## **PRZYGOTOWANIE I ORGANIZACJA OBOZOWISKA**

Oddział został powołany przez komendanta obwodu kapitana Antoniego Rychła ps. „Anioł” („Rymwid”) dnia 2 stycznia 1943 r. w Pałacu Nadleśnictwa Maziarnia. Dowódcą minowano ppor. Kazimierza Wróblewskiego ps. „Ryś” („Maryśka”). Kilka dni trwały obrady sztabu dotyczące organizacji oddziału, miejsca postoju, uzbrojenia, wyżywienia, a zwłaszcza zabezpieczenia ocalałej ludności od dalszych wysiedleń ochrony tych osób, którym udało się ucieczka w czasie wysiedlenia.

W pierwszej dekadzie stycznia podjęto decyzję odnośnie lokalizacji obozowiska. Wybrano miejsce w gęstym i dość wysokim zagajniku oddzielonym od linii oddziałowej lasem wysokopiennym o gęstym poszyciu.

15 stycznia przysięgę złożyło trzech kandydatów na partyzantów; jednym z nich byłem ja. Sceneria jak z Powstania Styczniowego: chłopska chata pod lasem, naftowa lampa na stole, a przy nim przyjęci młodzi ludzie czekający na przyjazd dowódców.

Zajechały sanie. Zeskoczyło z nich siedem osób uzbrojonych w karabiny, pistolety i granaty, a nawet jedna w dubeltówkę. Wprowadzający podoficer WP Franciszek (?) Krystynek zameldował o gotowości do złożenia przysięgi. Spore trudności nastęrczał wybór pseudonimów. Nie mogłem się zdecydować, jaki wybrać pseudonim. Wprowadzający zaproponował, żebym przyjął „Skoczek”, bo –jak to określił żartobliwie - „spadłeś z nieba”. Chodziło o to, że po ucieczce z Niemiec w domu po drugiej stronie lasu (kolonia Jasienica) ukrywałem się od 11 listopada 1942r. do 12 stycznia 1943 r., tj. do czasu wysiedlenia moich rodziców. Wiedział o tym tylko jeden gospodarz i jego rodzina: sołtys Ukrainiec Jurczuk, który drogo zapłacił za swoją uczciwość i przyjazny stosunek do Polaków. Został wysiedlony wraz z całą rodziną do obozu w Zamościu, a gdy po około dwóch tygodniach wrócił do domu, zastał gołe ściany, bo wszystko rozgrabili Ukraińcy z Józefowi i jeden przechrzta (przeszedł z katolicyzmu na prawosławie) z Jasienicy. Tak oto ekstremiści ukraińscy zemścili się na tej rodzinie za to, że nie solidaryzowała się z nimi.

Gdy obraliśmy już pseudonimy, wszyscy wstali z miejsc i w postawie na baczność złożyli przysięgę na krucyfiks, który stał na stole. Był to moment bardzo uroczysty, gdy usłyszeliśmy, że „od tej pory jesteście żołnierzami Armii Krajowej i obowiązuje was dyscyplina wojskowa”. Przysięgę odebrał oficer dywersji bojowej por. Franciszek Krakiewicz ps. „Góral”. Przy przysiędze byli obecni: Komendant Obwodu kpt. Antoni Rychle ps. „Anioł” (stał w cieniu lampy naftowej, aby go nie rozpoznać), brat „Górala” por. Ignacy Krakiewicz ps. „Wilk”, d-ca organizowanego oddziału ppor. Kazimierz Wróblewski ps. „Ryś” („Maryśka”), pchor. Karol Bojarski ps. „Wyga”, kpr. Karol Drzewiński ps. „Kociuba” („Pirat”), kpr. Kawalerii Bolesław Syput ps. „Piorunem” (Ślązak-dezertor z Wehrmachtu).

Po przysiędze pozostali z nami: por. „Góral”, ppor. „Ryś” oraz „Kociuba”, pozostali odjechali do Nadleśnictwa Maziarnia.

Zaprzysiężeni-teraz już partyzanci-położyliśmy się w ubraniach na podłodze na rozścielonej słomie, ale nie mogliśmy zasnąć pod wpływem silnych emocji. Zaczęliśmy rozmawiać o tych, których teraz poznaliśmy. Wszyscy zaimponowali nam swoją postawą, wolą walki z wrogiem i przyjacielskim podejściem do nas młodzików. Ich dowódcze walory, wiedzę wojskową i nieustraszoną odwagę dane nam było poznać w najbliższych miesiącach.

Uczyli nas nie tylko rzemiosła wojskowego i sztuki walki, ale również i tego, że nie należy kierować się ślepą zemstą i zabijać tylko dlatego, że ktoś jest Ukraińcem czy Niemcem. Było to nam bardzo potrzebne, bo przecież wielu z nas doświadczyło na sobie i swoich najbliższych wszystkiego, co najgorsze; potraciliśmy wszystko: rodziny, gospodarstwa, dach nad głową i cały dobytek. Takie nauki nie poszły na marne. Sam znam wiele przykładów, że nie kierowano się bezmyślną zemstą, nawet gdy wróg został schwyty z bronią w ręku, chyba że nie należał do zbrodniczych formacji policyjnych. Oczywiście i w naszych szeregach czasem znalazł się jakiś sadysta, ale na szczęście były to wyjątki.

Jednakże teraz my, świeżo zaprzysiężeni partyzanci, czekaliśmy w tej wiejskiej chacie do rana i o świcie wymaszerowaliśmy do wyznaczonego przez dowódców obozowiska, które na okres ponad czterech miesięcy miało być naszym domem. Choć uzbrojony-jak na razie- tylko w bagnety i obronny granat, czułem się jak prawdziwy partyzant.

## OBOZOWISKO

Na miejscu zastaliśmy przy ognisku kilka osób: kpr. „Makolągwa”(Walenty Korczak, jednakże to nazwisko poznałem dopiero po jego śmierci-zginął na Wołyniu w szeregach

WDP AK w marcu 1944r.), pchor. Jerzy Wejchert, z wykształcenia technik rolnictwa z Frankamionki, Józef Rudnik ps. „Pogrom” i inni-razem było nas 10 osób. Dzisiaj może się to wydać niewiarygodne, że przez kilka dni spaliliśmy pod gołym niebem przy ponad 30-stopniowym mrozie-wokół ogniska na rozłożonych gałęziach świerka, z nogami zwróconymi w stronę płomieni. Nakrywaliśmy się, czym kto miał-płaszczami lub kurtkami, a czasem we trzech okrywaliśmy się jednym kocem.

Natychmiast przystąpiliśmy do kopania dołu na bunkier. Gdyby nas w tych pierwszych dniach zatokowano, nie mielibyśmy chyba dość sił, aby się skutecznie bronić. W dzień ciężko pracowaliśmy, w nocy zaś pełniliśmy służbę wartowniczą-początkowo nawet po trzy godziny. Po kilku dniach wykopaliśmy część bunkra, którą tymczasowo pokryliśmy prowizorycznym dachem-dla nas był to już luksus. Poza tym patrolowaliśmy tereny około leśne, co wymagało szczególnej uwagi, bowiem wszystkie miejscowości w pobliżu lasu były obsadzone przez jednostki policyjne okupanta i straż graniczną.

Od strony zachodniej przy szosie Chełm-Hrubieszów, we wsi Białopolu, działała bardzo aktywna i bezwzględna ukraińska policja, z którą współpracowali ukraińscy ekstremiści zrzeszeni w Komitecie wysiedleńczo – nasiedleńczym w Strzelcach. Kilka kilometrów w kierunku Chełma, we wsi Żmudź, był następny taki posterunek, którego komendantem był wyjątkowy sadysta o nazwisku Kijko.

Policjanci z Białopola czasem zapędzali się aż do Nadleśnictwa Maziarnia, a ci ze Żmudzi patrolowali nawet tereny koło, Dubienki, aby spotkać się z tamtejszą policją. Całe to „doborowe” towarzystwo zbrodniarzy było-w razie potrzeby-wspierane przez żandarmerię z Teratyna i Chełma.

Od strony wschodniej były dwa posterunki Grenzschtuzu: jeden w odległości około 4 km w Skryhiczynie, drugi-odległość około 6 km-w Dubience.

Tylko od południa mieliśmy nieco większe pole manewru, bo kilka kilometrów wysokopiennego lasu o gęstym poszyciu dawało pewne zabezpieczenie. Podkreślenia wymaga, że Niemcy Grenzschtuz- przeważnie ludzie starsi-nie odnosili się do Polaków z taką nienawiścią, jak Ukraińcy w służbie niemieckiej.

W początkowym okresie w obozie był tylko jeden wartownik, w pobliżu linii oddziałowej od strony zachodniej. Pierwsze hasło było gwizdane, na melodię „Włazł kotek na płotek”- niestety, odzewu nie pamiętam.

W owym czasie nasze uzbrojenie stanowiły: jeden polski rkm, przywieziony przez dowódcę, dwa pistolety, trzy karabiny i kilka granatów. Żywność (chleb, mąka, słonina, cukier i kawa) była dostarczana z Dubienki przez tamtejszą organizację, której dowódcą był ppor. Stanisław Witamborski ps., „Mały”. Transportem zajmował się Jerzy Golczewski ps. „Cichy” oraz dwaj niezawodni łącznicy: Eugeniusz Tomaszewski ps. „Kocioł” i Bogusław Daniluk ps., „Królik”. Drugim punktem zaopatrzeniowym było Nadleśnictwo Maziarnia, gdzie pieczono dla nas chleb i przygotowywano inne wiktuały, które stale dostarczał oddany sprawie Stanisław Kwietniewski ps., „Ryś”.

## **ROZBUDOWA OBOZU**

Z końcem stycznia w oddziale było nas już 25, a budowa bunkra „A” zbliżała się ku końcowi. Bunkier-to właściwie ziemianka wkopana około 1,5 m w grunt, wystająca nad terenem tylko 0,5 m. Na sufit belkowany żerdziami świerkami i sosnami położono gałęzie drzew iglastych, zaś na wierzch narzucono warstwę ziemi i posadzono – dla zamaskowania – małe sosenki i świerki.

W środku po obu stronach korytarza stały piętrowe prycze ze strzelniczymi otworami na wypadek nagłego ataku. Tuż przy wejściu ustawiono stojaki na broń, a dalej, po przeciwnej stronie, była „izba dowództwa” – jak ją nazywaliśmy.

Robotami budowlanymi kierowało dwóch saperów: kapral z Białopola Jan Rondoś, uciekinier z więzienia, i Edward Kojro ps. „Rak”, oraz Karol Zwierzyński z Dubienki ps. „Strug” (właściciel zakładu trumniarskiego). Około połowy lutego 1943 r. wybudowano drugi bunkier „B”, połączony korytarzami i z oddzielnym wejściem. Było tam wydzielone pomieszczenie na kuchnię, w której ustawiono dwa kotły do gotowania. W obydwu bunkrach mogło pomieścić się na pryczach 120 osób. Tuż obok wybudowano mały bunkier, który służył do przestrzeliwania broni. Mieszkaniec Teremca Julian Kiełbasa wybudował, w odległości około 60 m od bunkrów, studnię z kręgów betonowych.

Z końcem stycznia lub początkiem lutego dokonano pierwszej akcji – bardzo udanej. We wsi Strzelce, z której wysiedlono wszystkich Polaków, Eugeniusz Łukaszczuk (przed wojną pracownik Nadleśnictwa Maziarnia, mieszkaniec koloni Strzeleckiej) zorganizował sprawnie działający komitet wysiedleńczo – nasiedleńczy. Obecnie nie był on już Eugeniuszem, tylko Jawgenijem, i nie pracował w Nadleśnictwie, tylko w Gestapo w Hrubieszowie. Miał ścisły nadzór nad komitetem oraz kierował działaniami policji ukraińskiej w sąsiednim Białopolu. Nasz wywiad doniósł, że kierujący komitetem Ukrainiec Ostaszczuk (lub Ostaszewski) posiada bardzo ważne dokumenty.

Kilkuosobowa grupa partyzancka, w której skład weszli doświadczeni dywersanci, wdarła się do pomieszczeń komitetu i zabrała ze sobą do lasu tego zwyrodniałego renegata wraz z różnymi dokumentami (najważniejsze z nich były plany wysiedleńczo – nasiedleńcze na najbliższy okres). Ukrainiec gdy został wzięty w krzyżowy ogień pytań i solidnie przestraszony, „wyśpiewał” wszystko, co mu było wiadome jako szefowi tej placówki.

Wyrok mógł być tylko jeden: kara śmierci. Spoczął niedaleko obozowiska, w tzw. „dolince śmierci”. Niebawem miało miejsce drugie zdarzenie, które było chyba w jakimś stopniu powiązane z uprowadzeniem Ostaszczuka.

2 lutego nad ranem pełniłem służbę wartowniczą (wówczas już tylko 2-godzinną). Mróz dochodził do 34 stopni. Półbuty owinałem szmatami, gdyż inaczej natychmiast odmroziłbym sobie nogi. Gdy przyszła zmiana, zrobiłem uwagę, że tak wściekłego mrozu jeszcze nie było, ale legenda głosi, że Matka Boska Gromniczna skręci mu kark. Mój zmiennik zauważył z humorem, że ma taką nadzieję, chociaż zanim to nastąpi, on może zamarznąć.

Kilka godzin później, mimo że nie miałem już służby w tym dniu, zostałem obudzony. Okazało się, że wartownik zatrzymał jakiegoś człowieka z wnykami i siekierą w ręku, gdy ten podkraadał się do obozu, z którego dochodził już poranny gwar. Wartownik kazał mu unieść ręce do góry i głośno wezwał kolegów.

Odprowadzono go kawałek od obozu i zaczęto wypytywać, kim jest i skąd pochodzi. Tłumaczył się, że jest Polakiem z Józefowa (czy Skryhiczyna), modlił się po polsku. Zapytany, dlaczego skradał się do obozu, tłumaczył, że to z ciekawości. Zasłonięto mu opaską oczy i podprowadzono do delikwenta stojącego pod drzewem. Gdy podszedłem do niego, przestał się uśmiechać. Lekko uchyliłem opaskę, aby upewnić się, kim on jest i zapytałem, czy jest Mikołajem Kuszmirukiem z Józefowa. Zawahał się na moment i przyznał, że tak. Zdjąłem opaskę, bowiem wiedziałem, że jest konfidentem straży granicznej ze Skryhiczyna i pozostanie w tym lesie na zawsze. W trakcie badania przyznał się, że faktycznie jest konfidentem, ale tylko dlatego, że został wyreklamowany przez Grenzschtzów, aby nie jechać do Niemiec. W kołnierzu miał zaszytą małą karteczkę z zaświadczeniem, że jest konfidentem i że należy mu udzielić wszelkiej możliwej pomocy. Na dodatek, przed wojną był kuro – i koniokradem.

Wyznał, że Niemcy coś zwęszyli, ale początkowo myśleli, że to tylko jakaś grupa rabusiów, która działa okresowo na tym terenie.

Spoczął obok Ostaszczuka.

Od tego dnia wystawiano już trzy posterunki, a nieco później nawet cztery, w tym jeden wewnątrz obozu, poza tym codziennie zmieniano hasło.

## AKCJE ZBROJNE

Oficer dywersji bojowej por. F. Krakiewicz ps. „Góral”, dość częsty gość w naszym oddziale, zaplanował akcję w Cieszynie, mającą na celu poskromienie tamtejszych nasiedleńców z Besarabii – jak ich potocznie nazywano: „czarnuchów”. Byli to ludzie prymitywni, często nie mający pojęcia o tym, czym jest dla rolnika pług, a nawet zwykły cep. Tam, skąd przybyli te narzędzia zastępowała im socha i woły pędzone po klepisku, na którym było rozłożone zboże. Gospodarstwa, które zasiedlili, w krótkim czasie doprowadzili ruiny, sami zaś rabowali i grabili, gdzie się tylko dało.

We wsi byli zorganizowani na wzór wojskowy, mieli swojego przywódcę, byli umundurowani i uzbrojeni. Poza tym ochraniał ich oddział SS- manów.

Często robili wypadki do okolicznych wiosek, w których wyłapywali ukrywających się Polaków. Do tych, których spotkali na drodze lub w polu, strzelali jak do kaczek. Cierpliwość polskiego podziemia wreszcie się wyczerpała. W noc sylwestrową 1942/1943 zaplanowano szereg akcji na różne obiekty, np. na mosty kolejowe, tory na liniach kolejowych, likwidacje agentów Gestapo oraz napady na zasiedlone przez Niemców wsie – między innymi na wieś Cieszyn. Jak się okazało, wieś była uzbrojona po zęby. Sprawą likwidacji tego gniazda prostackich zwyrodnialców zajął się tym razem por. „Góral”. Z naszego oddziału zabrał tylko dwóch podoficerów: Józefa Rudnika ps. „Pogrom” i K. Drzewińskiego ps. „Kociuba”.

W oddziale pozostało kilkanaście osób do robót przy bunkrach i do służby wartowniczo – patrolowej.

Pod koniec stycznia na terenach południowych pow. hrubieszowskiego i zamojskiego zorganizowano oddział wypadowy, którym dowodził por. „Góral”. Tym razem akcja została przygotowana starannie i bezbłędnie wykonana.

Mimo zaciętej obrony, zwłaszcza broniących się do upadłego SS- manów, po kilkugodzinnej walce wieś została zdobyta i spalona, a na miejscu pozostało ponad 100 trupów niemieckich. Ze wsi wypuszczono kilkadziesiąt kobiet z dziećmi.

Partyzanci mieli czterech rannych, w tym jednego ciężko. Nasiedleńcy byli po tej akcji przerażeni, nie spali po nocach, zaś społeczeństwo polskie nieco odetchnęło, bowiem widziało, że ktoś o nim myśli i za nie walczy.

Pamiętam, jak por. „Góral” po powrocie oceniał akcję. Powiedział m.in., że odwagi i chęci do walki nikomu nie brakuje, ale po zorganizowaniu obozu i oddziału należy zabrać się solidnie za wyszkolenie bojowe, aby móc uzbrojonym po same zęby i dobrze wyszkolonym hitlerowcom stawić czoło. O sobie powiedział tak: „ja również wiele nauczyłem się w tej akcji i obecnie analizuję, jakie poprawki należy w przyszłości wprowadzić”. Była to uwaga nie tylko partyzanta, ale przede wszystkim dobrego pedagoga, bo przecież był z zawodu nauczycielem.

W pierwszym kwartale i na początku drugiego oddział kontrolował pobliskie wsie i tereny wokół lasu, chroniąc ukrywającą się ludność przed nasilającymi się represjami, zarówno ze strony Niemców, jak i ukraińskich nacjonalistów, którzy wówczas byli wobec Polaków bezwzględni.

W okresie od lutego do maja zorganizowano dwie zasadzki na ukraińskich policjantów ( jak nazywaliśmy pogardliwie: „mongołów”), ale niestety- wracali inną drogą i uniknęli zagłady. Nie udały się również dwie zasadzki na Jewgenija Łukaszczuka, który kilkakrotnie wizytował posterunek policji w Białopolu, a także Komitet w Strzelcach. W jednym przypadku pojechał

w inną drogą, w drugim zaś- granaty wybuchały tuż za bryczką, tak więc wyszedł cało z tej opresji. Ponowna akcja na komitet wysiedleńczo- niesiedleńczy w Strzelcach była udana, bowiem zebrano kilka osób z przygotowanymi dokumentami do wysiedlenia.

Następny tego typu wypad dał jeszcze lepsze rezultaty. Wprawdzie Łukaszczuka nie zastano, ale wyluskano aż sześciu konfidentów, w tym czterech z Tuchań. Oczywiście- pozostali w naszym lesie na zawsze. Należy tutaj dodać, że okupanci przywiązywali wielką wagę do pracy konfidentów. Jednego schwytano na koloni Jasienica. Por. „Góral” wyraził się o nim, że „jest to wyjątkowy psubrat, udając wysiedleńca z Pomorza”. Najpierw działał na terenie powiatu chełmskiego, później pojawił się w hrubieszowskim. Z pochodzenia był Niemcem, ale bardzo dobrze znał język polski. Na badaniach zeznał, że Niemcy poważnie zaczynają się interesować lasem strzeleckim.

Około połowy marca, gdy ukończono bunkry, rozpoczęły się intensywne szkolenia czynnych partyzantów, jak również przeszkalanie ludzi ( po około 2 tygodniach z każdego regionu ), traktując ten oddział jako szkieletowy. Zakładano, że po odpowiednich przeszkoleniach, przeprowadzeniu szeregu akcji mających na celu ukończenie zbrodniczych działań wroga podczas wysiedleń i w okresie późniejszym, oraz po oczyszczeniu terenu z kolaboranckich i bandyckich mętów, plutony: malicki, grabowiecki i gdeszyński powrócą na swoje tereny, aby je oczyścić z wrogiego elementu, a tym samym zabezpieczyć tamtejszą ludność przed działaniami okupanta i sługusami ukraińskimi.

Na terenie koło Dubienki i Horodła miał pozostać oddział miejscowych partyzantów, którego dowódcą był prawdopodobnie pchor. Karol Bojarski ps.„ Wyga”. Niektórych żołnierzy z południowych terenów już wcześniej zwolniono z oddziału, aby zasilili swoje placówki, które wskutek koncentracji w lasach strzeleckich zostały nieco przerzedzone.

Z końcem marca dotknęła nas wszystkich bardzo boleśnie śmierć jednego z najlepszych podoficerów- kaprała Bolesława Syputy ps. „Piorunek”. Był wspaniały, wszechstronnie uzdolniony i bez granicznie odważny. Najczęściej- w miarę potrzeb- dowodził drużyną osłonową, czyli ochroniarzką. Gdy w Nadleśnictwie Maziarnia zarządzono odprawę oficerów z komendy obwodu hrubieszowskiego i naszego oddziału- mimo grypowych niedomagań kapral „ Piorunek” bez wahania podjął się dowodzenia grupą osłonową. Nikt wówczas nie przypuszczał, że w Nadleśnictwie działa szpicel o nazwisku Rak, Volksdeutsch. Hitlerowska służba bezpieczeństwa wraz z ukraińską policją z Białopola urządziła zasadzkę po tym, jak szpicel niechybnie dał im znać, że w okolicy grupują się jacyś obcy. Tylko odwaga uczestników tej odprawy, a w szczególności dowódcy i żołnierzy grupy osłonowej, uniemożliwiła hitlerowcom zniszczyć tej grupy. Dzięki zdecydowaniu i brawurze uratowali się wszyscy z wyjątkiem kaprała „ Piorunka”, który bohatercko bronił powierzony mu posterunek.

Wycofywał się ostatni, a gdy odwrócił się, by zlustrować teren za sobą, został skoszony serią z broni maszynowej. Niestety, nie było żadnych szans na zabranie ciała. Niemcy zakopali zwłoki w lesie w pobliżu pałacyku Nadleśnictwa, przy drodze do Strzelec.

Dowództwo i koledzy z oddziału nie zapomnieli o swoim bohaterze-obrońcy. Na początku maja, mimo nasilającego się penetrowania terenów przedleśnych przez Niemców i Ukraińców, specjalnie wybrana grupa ochotników przeprowadzała nocną ekshumację, a zwłoki włożono do trumny wykonanej przez miejscowego rolnika Kazimierza Strusia i w kondukcje pogrzebowym zawieziono na cmentarz w Buśniu k. Strzelec i tam, po oddaniu honorów wojskowych pogrzebano. Kilka lat temu młodzież oraz nauczyciel z Białopola próbowali- na moją prośbę- odnaleźć grób naszego obrońcy- niestety nie ma po nim śladu. To przykre, że niektórzy tak szybko zapominają o tych, którzy oddali swoje życie, by inni mogli żyć.

Coraz częściej do obozu na przeszkolenia kierowano żołnierzy z południowych regionów pow. hrubieszowskiego, przychodziły też grupy z pow. chełmskiego. Przez obóz przewinęło

się około 160 osób. Wielu było zaskoczonych organizacją, dyscypliną i porządkiem panującym w obozie. Większość tych, którzy przebywali z nami okresowo, bardzo podobał się zwyczaj śpiewania w bunkrach modlitwy: „ Kiedy ranne wstają zorze” i „ Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

## KONTAKTY Z KONSPIRATORAMI NA WOŁYNIU

Częstym gościem w naszym obozie był por. „ Góral”, oficer dywersji bojowej na pow. hrubieszowskim. Był on niejako naszym zwierzchnikiem a poza tym dowódca naszego oddziału ppor. K. Wróblewski ps. „Ryś” („ Maryśka”) darzył go ogromnym szacunkiem i sympatią. Obaj, jeszcze w kwietniu, nawiązali kontakt z K. Filipowiczem ps. „ Kord”, który przymierzał się do zorganizowania oddziału partyzanckiego w rejonie Jagodzina i Rymacz za Bugiem. W naszym oddziale było dwóch partyzantów z tego rejonu: Jan Kostecki ps. „Słowik”, „Czarny”, „Spalony” oraz Jan Stachniuk ps. „ Brzózka”.

W wyniku tych kontaktów i ścisłej współpracy- początkowo z „ Góralem”, a później ze sprawnie działającą organizacją w Dubience- na terenie Chełmszczyzny i graniczącego na tym odcinku pow. hrubieszowskiego nie udało się przejść żadnej zbrojnej grupie zbrodniarzy z UPA.

W kwietniu, tuż przed świętami Wielkiej Nocy grypa Ukraińców z sąsiedniej wsi Uchańka usiłowała- na kilku furmankach, z ukrytą bronią- wjechać do Dubienki, aby tam- chyba jako podarunek świąteczny, sprawić Polakom krwawą łaźnię. Na szczęście natknęli się na zaczajony patrol Grenzschtzów z Dubienki, który ich zatrzymał i nie dopuścił do masakry. Oczywiście, niedoszli zbrodniarze byli inspirowani przez dubienieckiego popa Makarczuka oraz ukraińską policję z Dubienki i Białopola.

Por. „Góral” był częstym gościem w naszym obozie również w kwietniu i maju. Pewnego dnia miał miejsce sztubacki żart, którego ofiarami stali się nasi dowódcy. Kilku kolegów, znanych kawalerzy i wesołków, poszło na patrol, a my postanowiliśmy zabawić się ich kosztem. Nad wejściem do bunkra zawiesiliśmy kilka „baloników”, aby powracający z patrolu koledzy natknęli się na nie. Traf chciał, że przed nimi przyszedli por. „Góral” i ppor. „ Ryś” i to właśnie oni stali się ofiarami tego kawału. Pomysłodawca i wykonawca został wezwany do przyznania się do winy. Nie było rady- zgłosił się na wezwanie. Delikwent przeprosił za ten wyczyn i poprosił o ukaranie- usłyszał jedynie od por. „Górala”: „przypuszczam, że to twoja robota”.

Wieczorem, po zajęciach, koledzy chcieli, aby im opowiedzieć jakiś kawał. Niedawny delikwent wyją książeczkę wojskową, z której z humorem opisywano, jak to wybuch pożar w lasach brzuchowickich ( faktycznie były takie lasy). Słuchając zabawnego opowiadania i dodatkowych komentarzy zaśmiewaliśmy się do rozpuku, a przecież po drugiej stronie korytarz była izba dowództwa, w której odpoczywali obydwaj oficerowie. W końcu ich cierpliwość się wyczerpała ppor. „Ryś” wyszedł, aby skarcić towarzystwo- a zwłaszcza prowodyra. Kilkadziesiąt minut później por. „Góral” przyszedł i zapytał, czy delikwent jeszcze żyje, bo zapadła cisza jak w rodzinnym grobowcu. Poleciał ,aby kontynuować czytanie i komentarze. Sam usiadł obok; słuchał uśmiechając się i dyskretnie obserwując biorących udział w zabawie. Od tej pory zawsze, gdy przechodził obok kawalarza, klepał go po przyjacielsku po plecach.

Również w maju przychodził do nas często kom. Obwodu kpt. Antoni Rychel ps. „Anioł”. Zaczął pojawiać się częściej po pewnej wpadce. Niemcy zrobili rewizję w majątku dworskim Podhorce, gdzie była kwatera dowództwa obwodu AK na pow. Hrubieszowskim. Wyznaczył trzech ludzi do przetransportowania dokumentów z Hrubieszowa, i pech chciał- część akt



osobowych dostała się w ręce niemieckie. Początkowo sugerowano, że były to akta całego obwodu, gdyż Niemcy zamordowali aż 40 osób.

Oczywiście nie była to prawda, bo gdyby w ręce nieprzyjaciela wpadły akta całego obwodu, wówczas aresztowano by przynajmniej 1200 osób.

W okresie od kwietnia do maja włącznie odwiedził nas chyba trzykrotnie oficer dywersji bojowej z Okręgu AK Lublin- por. Marian Gołębiowski ps. „Korab”, „Irka”- „Cichociemny” zrzucony do polski w nocy z 1 na 2 października 1942 roku.

Nie wiedzieliśmy dokładnie, kim on był, ale przeczuwaliśmy, że to osoba wiele znacząca, bo gdy się pojawiał, dowództwo zawsze się z nim naradzało. Charakterystyczne dla niego było to, że umiał zmienić swój wygląd po mistrzowsku.

Ostatni raz pojawił się w naszym obozie w połowie maja, tj. w czasie, gdy była już zarządzona koncentracja sił partyzanckich, nad którymi dowodzenie okresowo przejął por. „Góral”. Kiedy w rozmowach z nami bardzo chwalił akcję na Cieszyn i zwracał uwagę, zwłaszcza po śmierci „Pioruna”, na konieczność szybkiej likwidacji- jak to określił- „tego zbrodniczego gniazda kolaborantów ukraińskich w Strzelcach, które usadowiło się w naszym sąsiedztwie”. Podkreślam to szczególnie, bowiem do tej sprawy- aczkolwiek z przykrością- będę zmuszony wrócić w dalszej części wspomnień.

## KONCENTRACJA I WALKA

W obliczu lawinowo narastających zagrożeń, o których wcześniej wspomniałem, Komenda Obwodu Hrubieszów podjęła decyzję o likwidacji dwóch gniazd ukraińskiego nacjonalizmu: zasiedlonej wsi Strzelce i Tuchanie. w wyniku koncentracji liczebność oddziału wzrosła z 80 do 120 osób. Przygotowywaliśmy się intensywnie od kilku dni i wiedzieliśmy, że gdzieś nastąpi uderzenie, ale o tym, gdzie będzie skierowany atak, wiedziało tylko ścisłe grono osób. My zaś mogliśmy jedynie się tego domyślać; wiedzieliśmy wszak, że wcześniej czy później podopieczni gestapowca Łukaszcuka staną się celem naszego ataku.

26 maja w nocy ci wszyscy, którzy pochodzili z tych terenów, otrzymali polecenie, aby- w miarę możliwości- zmienić swój wygląd. Jedni malowali się węglem, inni pastą do butów. Nic dziwnego, że później niektórzy opowiadali, że byliśmy podobni do diabłów. Por. „Góral” założył ciemne okulary.

Zarządzono zbiórke oddziału i dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że celem naszego ataku mają być dwie miejscowości: Strzelce i Tuchanie. Grupę na Tuchanie prowadził nasz dowódca oddziału, a obecnie- zastępca ppor. „Ryś”(Maryśka). W grupie było około 40 partyzantów. Grupa strzelecka działała niejako na dwóch kierunkach: jedna, zasadnicza, w której brało udział około 35 partyzantów, miała za zadanie zaatakować i rozbić Strzelce, przede wszystkim całkowicie zlikwidować siedlisko komisji wysiedleńczo-nasiedleńczej. Tą grupą dowodził Karol Bojarski ps. „Wyga”. por. „Góral”, licząc się z tym, że policja ukraińska z Białopola będzie chciała przyjść pobratymcom z pomocą, urządził zasadzkę na drodze przy mostku od strony Białopola. W tej 8-osobowej grupie znalazłem się i ja, jako celowniczy rkm-u. Strzelce mieliśmy za sobą.

27 maja w nocy nad Strzelcami ukazała się łuna. Chwilę potem zatrzymaliśmy Ukraińca biegnącego od strony wsi w kierunku Białopola. Por. „Góral” znał go i wiedział, że nie szkodził Polakom. Poleciał puścić go wolno, aby mógł przekazać policji, że jest nas tylko trzech i zabieramy się do odwrotu do wsi. Ukraińiec popędził do Białopola jak na skrzydłach. Jedno nas zaskoczyło: gdy spojrzeliśmy do tyłu w stronę płonących domów, zobaczyliśmy na tle łuny sylwetki ludzi biegnących w stronę lasu. Dziwne się nam wydało,

że ktoś biegnie do lasu, ale przypuszczaliśmy, że niektórzy- w szoku- pragnęli uciec jak najdalej od wsi.

Czas akcji dobiegał końca, nad Strzelcami łuna przygasła, policja nie nadjeżdżała, zaczynało świtać i nadszedł czas zwinięcia zasadzki i wycofania do obozu. Pod lasem spotkaliśmy powracającą ze wsi grupę, której zadaniem było spenetrowanie domu Łukaszcuka. Nasza grupa (10 osób) poszła w kierunku południowym, zaś por. „Góral” wraz z kilkoma osobami skręcił w stronę lasu około 150 m. od drogi Józefów- Strzelce.

Po spenetrowaniu mieszkania Łukaszcuka stwierdziliśmy, że nikt się w nim nie ukrywa. Zabrałem do chlebaka dwie książki, ktoś inny wziął kilka kawałków solonej słoniny, i tak- odprężeni, w luźnym szyku, poszliśmy polem, na którym rosło spore już żyto, w stronę przyleśnego zagajnika. Na lewo była droga Józefów- Strzelce, a za nią ściana lasu, zaś na prawo- w niewielkiej odległości las wysokopienny. Ciekawe, że niekiedy wyczuwa się intuicyjnie niebezpieczeństwo. Dziwna cisza wokół nas, brak świergotu ptaków- wszystko to było dość denerwujące. W lesie na prawo zobaczyliśmy obserwującego nas cywila. Gdy jeden z nas zmierzył się do niego z karabinu, ten nie uciekł, lecz zrobił półmrok i skrył się za drzewo. Przyśpieszyliśmy i w jeszcze bardziej rozluźnionym szyku zmierzaliśmy w stronę zagajnika i lasu.

Gdy dzieliło nas od nich około 100 metrów, od strony drogi Józefów- Strzelce rozszalał się huraganowy ogień z broni maszynowej i zwykłej. Po momencie zaskoczenia odruchowo padliśmy na ziemię i chyłkiem, czołgając się parliśmy do przodu. Ktoś próbował wywołać „Górala”, ale stało się dla nas jasne, że wpadliśmy w zasadzkę. Skokami dopadliśmy do lasu. Dopiero gdy byliśmy już w zagajniku zdecydowałem się na oddanie kilku krótkich serii w stronę, skąd dochodziła wrzawa hitlerowców chcących przeciąć nam drogę. Moi koledzy z lewej strony również zaczęli się ostrzeliwać.

Po prawej nie było nikogo, a obawiałem się, że z tej strony również może mi grozić niebezpieczeństwo, dlatego parłem do przodu w kierunku pojedynczych strzałów. Moje obawy okazały się słuszne, bo gdy przeskakiwałem linię oddziałową, usłyszałem z prawej strony krzyki: halt i stuj. Bez namysłu puściłem w tym kierunku kilka serii i kątem oka zobaczyłem, jak dwóch żandarmów i jeden policjant ukraiński padli w krzaki.

Nieco dalej zostałem ponownie ostrzelany z broni maszynowej. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie była to zwykła zasadzka, lecz z całą pewnością duża obława. Oddałem znowu kilka serii i dałem nura w gęstwinę, aby jak najszybciej przeskoczyć skrzyżowanie dróg: Józefów- Strzelce i Maziarnia- Janostrów- Dubienka. Usłyszałem, jak z lewej moi koledzy się ostrzeliwali- hamując tym samym impet nacierających. Skrzyżowanie zostawiłem po prawej stronie, ja zaś przeskoczyłem najpierw jedną, potem drugą drogę i skierowałem się w stronę bunkrów.

Po drodze spotkałem kilku kolegów- i razem szybkim marszem szliśmy do bunkrów. Od strony obozowiska nadbiegł „Kociuba”, wysłany przez ppor. „Rysia”, który – po powrocie z Tuchania- słysząc strzały, wysłał kilkuosobowy patrol, aby udzielić ewentualnej pomocy „Góralowi”. „Kociuba” nie chciał nam uwierzyć, że to Niemcy. Zawróciliśmy na skrzyżowanie i wywoływaliśmy „Górala”. W pewnej chwili, po krótkiej ciszy, padła odpowiedź: „nie strzelać, tutaj „Góral”. Wywołaliśmy aktualne hasło- 303, i czekaliśmy na odzew. Odpowiedziano- tak, 303. Jednakże odzew tego dnia brzmiał 505. „Kociuba” już nie miał żadnych wątpliwości, że to hitlerowcy. Wrzawa i krzyki nasiliły się. Wycofaliśmy się w stronę bunkrów, śląc krótkie serie. Gdy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy por. „Górala”, który przyszedł kilka minut przed nami. Na szczęście, nie został zaatakowany w obławie, bo jej centrum i zasadzka znalazły się po jego prawej stronie.

Zdaliśmy „Góralowi” szczegółowe sprawozdanie z niedawnej potyczki. Pochwalił naszą grupę za to, że mimo zasadzki nie daliśmy się zaskoczyć, no i nikt nie zginął. Dopiero kilka lat

później dowiedzieliśmy się, że mimo naszego strzelania w zasadzie na ślepo, zginęło wtedy czterech hitlerowców.

Na szczęście dla nas, hitlerowska zasadzka była nieudana, bowiem zorganizowano ją w niewłaściwym miejscu. Gdyby nie to, mogliby naszej grupie zadać bardzo poważne straty, bowiem swoją zasadzką całkowicie nas zaskoczyli.

Było już wiadomo, że to duża obława. Czekaliśmy, co zdecyduje nasze dowództwo. Por. „Góral” polecił nam usiąść obok niego i ppor. „Rysia”, kazał podać każdemu po kieliszku wódki i kawałku wędzonej słoniny. Gdy jedliśmy- powiedział ze stoickim spokojem : „poczekamy tutaj na szwabów i pokażemy im jak biją polscy partyzanci”. Spokój i opanowanie obydwu dowódców udzielił się nam, co- jak się okazało- przesądziło o losach tej walki (mimo sześciokrotnej przewagi wroga).

Niezwłocznie wysłano w różnych kierunkach trzy kiluosobowe patrole oraz dwa ubezpieczenia z rkm-ami: jedno od strony drogi Józefów- Strzelce z celowniczym kpr. Bolesławem Ignaciukiem ps. „ Kruk”, drugie zaś- do którego zostałem przydzielony wraz z czterema kolegami- od strony Janostrowa i gajówki Paciorka. Wkrótce po zajęciu stanowiska usłyszeliśmy dochodzące od strony bunkrów najpierw pojedyncze dwa strzały, a zaraz po nich grzechot broni maszynowej różnego typu, w tym rkm. Walka rozszalała się na dobre. Po chwili od strony obozu pędem podjechał do nas furmanką Jerzy Golczewski ps. „Cichy”, który rano do obozu dostarczył z Dubienki chleb, mąkę, cukier, amunicję i meldunki. Poinformował nas, że kilkudziesięciu umundurowanych hitlerowców podeszło wartownika, a ten zaczął się ostrzeliwać i cofać w stronę bunkrów. Powiedział też, że na drodze od strony Janostrowa i Dubienki nie widział żadnych hitlerowców.

Podjąłem decyzję, że na posterunku zostaną dwie osoby z karabinami i granatami, zaś ja, amunicyjny i jeszcze jeden partyzant włączymy się do walki. Las dosłownie huczał od strzałów z broni maszynowej. Gdy usłyszeliśmy okrzyk „hura!” wiedzieliśmy, że rozpoczął się kontratak. Biegliśmy na prawym skrzydle, walka od bunkrów się oddalała, a nas ostrzeliwano z boku, tak że co chwilę musieliśmy odpowiadać ogniem. Była to część obławy, która nas zaatakowała pod lasem i dopiero teraz dotarła w pobliże bunkrów. Z linii oddziałowej, którą biegliśmy, musieliśmy uskoczyć w bok lasu, aby nas nie wystrzelano. Przypuszczalnie nasza grupka ocalała tylko dlatego, że atakujący słyszeli oddalającą się walkę.

Nie wiedzieli również, ilu nas jest, a my z kolei znaleźliśmy tutaj prawie każdy krzaczek i umiejętnie wybieraliśmy wszystkie osłony terenowe.

## FRONTALNY ATAK

Na wysokości budynków dołączyło do nas jeszcze trzech partyzantów z patrolu, czwarty zaś pobiegł do obozowiska, aby przekazać meldunek o sytuacji na prawym skrzydle. Szliśmy więc w sześciu, uzbrojeni między innymi w erkaem.

A oto jak wyglądała pierwsza faza walki pod bunkrami, gdy rozrzuciona na dużej przestrzeni tyraliera szła od strony wsi Strzelce.

Około 40-osobowa grupa żandarmów pod dowództwem hauptmanna posuwała się od traktu Józefów-Strzelce, nie zachowując należytych środków ostrożności. Szli gromadą, rozmawiali, dowcipkowali i śmiali się głośno. Nic więc dziwnego, że weszli pod ostrzał erkaemu, który ubezpieczał nasz obóz od strony Nadleśnictwa Maziarnia. Niestety, szczęście im sprzyjało, bowiem partyzancka plaga – zacięcie karabinu – dała i teraz o sobie znać. Jak twierdził celowniczy Bronisław Ignaciuk ps. „Kruk” z Białopola próby odblokowania zamka nie dały rezultatu. Tak więc cała grupa żandarmów dotarła aż do wartownika wystawionego na ścieżce prowadzącej do obozu. Młody, 20-letni chłopak z Janostrowa –

Kazimierz Czapka ps. „Rondel”, bez wahania wymierzył z karabinu do pierwszego z brzegu żandarma, kładąc go trupem na miejscu. Strzały zaalarmowały obóz. Niemcy otworzyli do niego ogień, lecz skrył się za drzewami i skutecznie powstrzymywał napór atakujących.

Wkrótce przybiegli oficerowie „Góral” i „Ryś” z grupą partyzantów i wówczas rozpoczął się wręcz szaleńczy kontratak.

Relacje z tego frontального kontrataku, odnotowane przez młodego partyzanta Zbigniewa Skorupę ps. „Szary” kilka dni po walce (zachowana oryginalna pisownia pamiętnika).

... „Jeż” ma się zabrać do złożenia rkm-u. Wtem słychać strzały, jeden, drugi. F. Woła za broń i za mną! Łapię swego Mauzera i gonię za F. Wypadamy na ścieżkę. Obok biegnie F., szef, Kociuba, ja krok za F. Nagle przed nami uciekający n. F. Strzela, ja klękam – strzelam z kolana (pierwszy strzał do człowieka, nie... – do Niemca) za swego Ojca, za to co przecierpiał w więzieniu, strzelam drugi raz npl. Wypada na obie strony ścieżki do lasu. Biegniemy cały czas ścieżką, naokoło słychać strzały, z przodu rkm-y npla grają, pada rozkaz w tyralierkę. Biegnę na ukos w prawo, z lewej Kociuba z prawej nie wiem kto, mijam „Barana”, zaczynają kule gwizdać koło uszu. Ciągłe słychać głos F. Naprzód chłopcy na tych s-synów Niemców.

Biegniemy naprzód, ciągle wypatruję w krzakach nieprzyjaciela. Nagle widzę mundur w krzakach ze 30 m. Z pozycji leżącej biję raz. Widzę, że krzaki się ruszają, biję nad samą ziemią drugi (niewypał) i trzeci raz. Znowu pada komenda naprzód. Zrywam się i biegnę naprzód. Chcę załadować kb, nie mam amunicji. Proszę p. Kociubę, ten daje mi kilka sztuk, biegniemy znów, nagle przed nami była droga, przed nią rów i kłoc dębowy. Na jakieś 5 metrów zawadzam nogą o gałąź i przewracam się. Robię skok i walę się do rowu.

Za drogą w rowie leżą npl. Po prawej stronie słyszę rkm i fujarkę. Jeszcze przed tym biegnąc drogą dopadł F. Do ofic. żand. (nieczytelne) rannego strzela z biegu i krzyczy mam fujarkę. Zabiera ją, zarzuca na plecy i goni dalej.

Kilkadziesiąt kroków dalej po prawej stronie leży Niemiec i Polak „Rak”, który ich tutaj przyprowadził. Poznał F., lecz ten w zapale bojowym krzyczy: zgiń taki synu i strzela mu w czoło. Teraz zrobiliśmy tyralierkę. Po lewej stronie dróżki stoi nasz rkm. Kociuba bierze go i wali serię z niego. Wybija magazynek i krzyczy amunicja do erkaemu, lecz amunicji nikt nie ma. Ładuje więc swoje naboje do magazynku i wali znów do szwabów. Dobiegamy do skrzyżowania drogi Józefów- Strzelce. Wpadając do rowu słyszę głuchy wybuch, lecz nie zdaję sobie z niego sprawy w ciągłym huku strzałów kb. Za mną do rowu wpada „Jeż”. Proszę go o amunicję. Cóż z tego, że mam 40 sztuk francuskiej, kiedy brak mi polskiej. Daje mi 4 sztuki.

Z lewej strony słychać głos Kociuby: naprzód „Jeż” - krzyczy. Nagle wstaję, podnoszę głowę nad dąb. W tej chwili strzela z lewej strony km i czuję jak dwie kule głaszczą mnie po włosach. Schylam głowę i zdejmuję czapkę. No mam szczęście, jedna kula weszła do środka i przeszła między włosami a podszewką czapki, druga tylko trąciła czapkę. „Jeż” zrywa się, więc go powstrzymuję. Mniej więcej w tym czasie „Kociuba” strzela z fujarki. Znów idziemy do przodu, Niemcy uciekają, gwizdzą na odwrót. Za drogą dogania nas „Anioł” i robi front w lewo, gdyż podobno jest tam jeden żołnierz. Ja melduję i proszę by atak prowadzono dalej, gdyż npl ucieka. Nie trzeba - padają dwa wyrazy. Ależ panie K. Oni uciekają i najlepiej trzeba wykorzystać ten moment. Nie trzeba – powtarza. Opadają mi ręce z karabinem, czuję stwardniały język zeschły ze zmęczenia, zeschłe wargi. Brak śliny, za to krew pulsuje prędko. Schodzimy się na drogę, wzdłuż której był prowadzony atak. Widzę kilku ludzi stojących nieruchomo. Podchodzę bliżej, ktoś leży na piersiach na ziemi. Nagle zrozumiałem, to F. leży zabity. Podchodzę do ciała, po prostu nie mogę uwierzyć. Przed chwilą prowadził atak z kb, zabił tylu wrogów, a teraz leży martwy. Obrócono go twarzą do góry. Granat npl. Wyłupał dziurę w prawym czole wraz z okiem. Jeżowi płyną

*łzy z oczu. Klękam i całuję najlepszego przyjaciela ojca, którzy razem cierpieli przez wyspę jednego gościa. Jeden w lesie, drugi za murami zamku lubelskiego. Zaczynam płakać...*

Dalej: ...Ze zwłokami idziemy do obozu. Tutaj po drodze spotykamy zabitych npli. Zabieramy broń. 1 rkm, 1 pistolet maszynowy, 4 pistolety, 2 granaty. U nas są straty, 4 zabitych, 2 ciężko rannych, szef 2 kule w bok i „Strug”, kulę pod kolanem. „Kociuba” w czasie zmiany magazynku dostał z pistoletu maszynowego, kulę w kostkę dłoni. Atak przeprowadzony na odległości 1800m w ciągu 12 minut. Straty npl. jak się dowiedzieliśmy wynosiły 15 zabitych i 20 rannych – w tym kilku milicjantów ukraińskich.

Ja ze swej strony uzupełniam, że z 20 rannych – dwóch zmarło w szpitalu. Zabitym w pobliżu bunkrów był hauptmann (chyba dowódca obławy lub też jego zastępca). Znaleźliśmy przy nim zdjęcia por. „Górala” i list gończy. Nieco dalej leżał jeszcze jeden oficer żandarmerii.

Trzeba wyjaśnić, że piszący pamiętnik pomylił się w ocenie odległości i czasu kontrataku. Faktycznie odległość ta wynosiła około 900 metrów, a czas – licząc od pierwszego strzału – około 30 minut.

Powrócę teraz do swojej relacji. Biegliśmy nadal na prawym skrzydle, ostrzeliwując w biegu tyralierę, która od strony Strzelec szła teraz bardzo ostrożnie, a gdy zorientowała się, iż wrzawa i strzelanina oddala się od bunkrów – zaczęła się wycofywać. Dobiegliśmy wreszcie do drogi Józefów – Strzelce, jakieś 150-200 metrów od miejsca, w którym hitlerowcy zorganizowali rozpaczliwy opór, aby zyskać na czasie i zabrać rannych na furmanki. Zmęczeni do utraty tchu ustawiliśmy erkaem, a ja krótkimi seriami wystrzelałem cały magazynek. Gdy hitlerowcy zorientowali się, że drogę do Strzelec mają odciętą, pojechali leśną linią w kierunku Nadleśnictwa Maziarnia. Wtedy „przeskoczyliśmy” drogę i pobiegliśmy jeszcze kawałek w stronę turkoczających furmanek. Gdy się zorientowaliśmy, że jesteśmy sami, zawróciliśmy do miejsca, z którego było słyhać rozmowy naszych kolegów. Tam zastaliśmy sytuację, jak to opisał w pamiętniku „Szary”: zwłoki „Górala” i płaczących nad nim kolegów.

Co się tyczy samej walki, to ze strony Niemców w obławie brało udział nie mniej niż 600 osób, w tym: żandarmeria, policja ukraińska, Schutzmani, Volksdeutsche (tzw. „czarnuchy”) i inne służby pomocnicze. Z naszej strony w walce brało udział 85 osób.

Oprócz zdobytej broni znaleźliśmy w krzakach kilka mundurów i dwie czapki. Kilkudziesięciu Niemców, którzy prawdopodobnie szli w drugim rzucie za grupą dowodzoną przez hauptmanna – popłochu rzuciło się do ucieczki, niektórzy bez czapek i bluz, a jeden nawet na bosaka. Odbili w stronę wsi Józefów, w której mieszkali Ukraińcy. Tam kazali cywilom zaciągnąć wartę, a do Skryhiczyna wysłali gońca, aby Grenzschatze z Dubienki i Skryhiczyna przyszli im z pomocą.

Jeden z żandarmów tak później o tej walce opowiadał w Nadleśnictwie Maziarnia: „To nie byli tylko Polacy, to na pewno był desant. Ja byłem pod Verdun. Nigdy takich czarnych i wściekłych wariatów nie widziałem. Leżałem w krzakach i widziałem, jak zachowywał się taki jeden szaleniec. Był ranny, ciągnął za sobą nogę, jęczał Jezus-Maria, ale strzelał krzycząc: bij szwaba sk...syna – naprzód chłopcy, my nie Żydzi, nie damy się”.

Wyjaśniam, że tym szaleńcem – jak go nazwał żandarm – był Karol Zwierzyński ps. „Strug” z Dubienki, który już w pierwszej fazie walki został ranny w kolano. Wielu z nas nie zdążyło zmyć węgla i pasty, którą wysmarowaliśmy się przed akcją 26 maja wieczorem. Brawurowy i wręcz szaleńczy kontratak, a przy tym gromkie „hurra”, mogło dać Niemcom podstawę do przypuszczeń, że to desant.

Polegli w tej walce:

Por. Franciszek Krakiewicz ps. „Góral” – pośmiertnie awansowany do stopnia kapitana i odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy – za niezłomną postawę wobec wroga i śmierć w obronie honoru Polski.

Kpr. WP Franciszek Stepień ps. „Waleczny” – pochodził z Malic. Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Walecznych.

Dwóch żołnierzy o nieznanach nazwiskach i pseudonimach poległo w służbie patrolowej. Zostali pochowani w zagajniku przez grupę opuszczającą obóz w godzinach nocnych 27 maja 1943r. niestety, Niemcy natrafili na ślad świeżych mogił i odkopali zwłoki, aby zdjąć z nich ubranie.

Mimo moich usiłowań i poszukiwań przez kilkadziesiąt lat, nie udało mi się poznać ich nazwisk i pseudonimów.

Ranni:

Kpr. Karol Zwirzyński ps. „Strug” – ranny w kolano.

St. Wachmistrz kawalerii Sarzyński (nie znam imienia i pseudonimu), dostał dwie kule w bok. Był szefem oddziału.

Kpr. Karol Drzewiński ps. „Kociuba” („Pirat”) – lekko ranny w kostkę dłoni. Za tę walkę został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Strzelec NN ps. „Baran” – lekko ranny w bok.

W naszym obozie przebywał plut. Piotr Kojro ps. „Grześ”, ranny w okolicach pachwiny podczas nieudanej akcji9 przewiezienia części dokumentów obwodu hrubieszowskiego. Opatrunek „Grzesiowi” zrobił lekarz Bobiński z Dubienki, którego na miejsce do obozowiska przywiózł łącznik – Bogusław Daniluk.

Nasz dowódca ppor. Kazimierz Wróblewski ps „Rys” („Maryśka”) został za tę walkę odznaczony Krzyżem Walecznych. To było już jego drugie takie odznaczenie, bowiem pierwsze otrzymał w roku 1939 w Borach Tucholskich.

## LIKWIDACJA OBOZOWISKA

Po powrocie do obozu zarządzono zbiórkę oddziału, którego dowodzenie przejął ponownie „Rys” („Maryśka”) – poprzedni dowódca, a w okresie koncentracji z-ca dowódcy por. „Górala”. Zwycięstwo, które było niewątpliwie naszym wielkim sukcesem, nie cieszyło nas, bowiem byliśmy zbyt zszokowani śmiercią naszego por. „Górala” – tak przez nas uwielbianego. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem, żeby prawie 100 ludzi chodziło po obozie i ukradkiem ocierało łzy.

Dowódca wysłał trzy patrole, aby przetrząsnęły krzaki i sprawdziły, czy przypadkiem nie ukrywają się w nich jakieś hitlerowskie niedobitki, a w szczególności – czy nie ma tam naszych rannych lub poległych kolegów. Pozostali partyzanci zajęli się przygotowaniem do drogi dwóch furmanek, na które załadowali nieco żywności, poległego por. „Górala”, a także dwóch rannych: „Struga” i „Grzesia”. Kilku partyzantów przeszukało wszystkie bunkry, aby zabrać z nich wszystko, co by się nam mogło jeszcze przydać. „Jeż” wyniósł z bunkra należący do por. „Górala” kordzik i wręczył go Z. Skorupie ps. „Szary”, który był uczniem, a także najbliższym przyjacielem ojca „Górala”.

Z konieczności zostawiliśmy kilka koni i furmanek z ziemniakami, mąką i słoniną. Od strony wsi Strzelce było już od pewnego czasu słyhać nasilający się warkot motorów. Musieliśmy działać szybko, bo byliśmy przekonani, że Niemcy po takim „laniu”, jakie otrzymali, na pewno będą starali się nas dopaść i zniszczyć. (Później dostaliśmy informacje, że już w godzinach popołudniowych przyjechało do majątku ziemskiego p. Du Chateau w Strzelcach kilka samochodów opancerzonych).

Czas nas naglił, dlatego też zwłoki dwóch poległych w służbie patrolowej kolegów pogrzebaliśmy razem tam, gdzie zostali zabici, zaś kaprala „Walecznego” oddzielnie. Był to pochówek tymczasowy, bez specjalnego zamaskowania, w związku z czym – jak już wyżej

wspomniałem – Niemcy na drugi dzień odnaleźli w krzakach poruszoną ziemię i odkopali zwłoki.

Nadszedł czas rozstania się z naszymi bunkrami. Jeszcze ostatnie spojrzenie do tyłu i w szyku ubezpieczonym, ze szperaczami oraz boczną osłoną opuściliśmy z ogromnym żalem nasze obozowisko. W środku kolumny jechały dwie furmanki z dwoma rannymi i poległym por. „Góralem”.

Był piękny, słoneczny i ciepły dzień. Byliśmy bardzo zmęczeni i marzyliśmy tylko o jednym: aby odpocząć. Męczyło nas pragnienie, a soloną słońcą przeklinaliśmy, ile wlało. „Przeskoczyliśmy” trakt Józefów – Strzelce, bardzo niebezpieczny, bo gdyby odcięto nam z tego kierunku odwrót, wówczas mielibyśmy wielkie kłopoty z wycofaniem się, a przecież mieliśmy dwóch rannych. Nagle usłyszeliśmy narastający warkot. Po chwili okazało się, że to samolot patrolujący drogę przed nami. Zwiększyliśmy ostrożność, podcięliśmy konie, by przyspieszyć tempo marszu. Przy każdym podskoku wozu „Strug”, ranny w kolano, okropnie na nas kłął z powodu bólu. Samolot patrolował drogę przed nami, jakby lotnik wyczuwał, że wybraliśmy właśnie ten kierunek. Zostawiliśmy po prawej stronie Nadleśnictwo Maziarnię, po lewej – wieś Tursko, kierując się w stronę podmokłych i zabagnionych łąk. Samolot przeleciał nad nami, a dalej w przodzie usłyszeliśmy warkot drugiego. Prosty wniosek: Niemcy nauczeni smutnym doświadczeniem starannie przygotowują się do drugiego uderzenia. Jednak dopiero następnego dnia mieliśmy się przekonać, że tym razem zostaliśmy potraktowani bardzo poważnie – nawet zbyt poważnie.

Ogromne pragnienie zmusiło nas do czerpania wstrętnej bagiennej wody na łące, gdzie się zatrzymaliśmy. Byliśmy bardzo ostrożni, aby lotnik nas nie wypatrzył. Żołnierze usiedli w grupkach i komentowali dotychczasowe wydarzenia. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie nastąpił jakiś przeciek o terminie naszej akcji, ale doszliśmy do wniosku, iż to wykluczone, a to, że nasza akcja na wsie Strzelce i Tuchanie zbiegła się z obławą, to tylko czysty przypadek. Gdyby rzeczywiście był jakiś przeciek (a co dopiero zdrada!), zaatakowano by przede wszystkim grupę około 40 osób, dowodzoną w Tuchaniach przez ppor. „Rysia”. Gdyby zaatakowano właśnie tę grupę, czy to od strony lasu, czy na drodze Strzelce-Janostrow- Dubienka – poniosłaby ona na pewno duże straty. Tymczasem ppor. „Ryś” wykonał zadanie bez przeszkód i bez strat w ludziach i powrócił do obozu jeszcze przed nadejściem por. „Górała”.

Większość partyzantów, tak jak i dowództwo, zdawali sobie sprawę, że taki oddział nie ma szans na przetrwanie w ukryciu, a tym bardziej w walce – choćby ze względu na brak amunicji. Tuż przed wieczorem dowódca wydzielił 8-osobową grupę z podchorążym Karolem Bojarskim ps. „Wyga” na czele, aby sprawdzili, jaka jest sytuacja przy bunkrach, czy Niemcy już opanowali tamten teren, bowiem warkot motorów od strony Strzelec ciągle narastał. Zadaniem grupy było tylko i wyłącznie rozpoznanie terenu, bez wdawania się w walkę. Przy bunkrach patrolujący zauważyli małe ognisko, i gdy ktoś stojący w cieniu rzucił pytanie „kto idzie”, niezwłocznie skierowali się w drogę powrotną. Z późniejszych relacji dowiedzieliśmy się, że było to kilku naszych kolegów pochodzących z okolic Dubienki, którzy wracali do swoich domów po tym, jak nasz oddział opuścił swoje miejsce postoju. Do swych rodzin dotarli bez przeszkód.

Zmęczony całonocną akcją i walką usnąłem, jak zwykle bardzo twardo. Przed zbiórką koledzy obudzili mnie, uśmiechając się jakoś dziwnie. Okazało się, że położyłem się obok zwłok „Górała”, które zdjęto z furmanki. W czasie snu przesunąłem się na słomę i „podzieliłem się” z nim kocem, którym był przykryty.

Myślę, że warto tu przedstawić „historię” mojej jesionki, w której przezimowałem w bunkrach. Niestety, zostawiłem ją na stanowisku, gdzie stałem z erkaemem. Brak było czasu, aby po nią pójść, gdy opuszczaliśmy obóz. Niemcy jej nie znaleźli. Po obławie, podczas przeszukiwania terenu i obozowiska przez naszych, zabrał ją do Dubienki Zygmunt

Krakiewicz ps. „Brzózka”. Jerzy Golczewski ps. „Cichy” widział mnie w czasie akcji w miejscu, gdzie leżała jesionka, i przypuszczał, że byłem jednym z tych, którzy polegli. Gdy około 10 lipca 1943r. po skierowaniu mnie na odpoczynek i leczenie znalazłem się w Dubience, moi znajomi myśleli, że widzą ducha.

Wieczorem po naradzie dowództwo zarządziło zbiórkę i podało, że podjęto decyzję o rozwiązaniu oddziału, aby nie narażać ludzi na niepotrzebną śmierć. Z szeregu mieli wystąpić ci, którzy nie mieli nic do stracenia. Trzy kroki do przodu zrobiło dwadzieścia osób, wśród których znalazłem się i ja. Nie miałem nikogo, gdzie bym mógł się zatrzymać, nie miałem żadnych dokumentów, a z listu (otrzymanego od jeńca Belga, który pomagał mi w ucieczce) wiedziałem, że mój Bauer przyrzekł zrobić wszystko, by mnie złapać i publicznie na rynku powiesić.

Ci, którzy mieli odejść, przekazali nam najlepszą broń: dwa erkaemy, w tym jeden zdobyty czeski, granaty obronne i pozostałą amunicję. Padło ostatnie „cześć” i „czołem” – i w grupach po kilku lub kilkunastu rozeszli się na kwatery czy też do swoich domów. Razem z kilkoma osobami odszedł od nas również Komendant Obwodu A. Rychel ps. „Anioł”. Na dobre i złe został z nami ppor. „Rys” („Maryśka”). Byliśmy pewni, że nic dobrego nas nie czeka. Gdy spojrzałem na moich współtowarzyszy broni pomyślałem, że w takim towarzystwie nie będzie mi żal umierać.

Dyworsant „Wyga”, „Pogrom”, „Makolągwa”, „Pirat”, „Czaruś”, i my, młodzi partyzanci: „Szary”, „Lotnik”, „Wyrwa”, „Holownik”, „Ryba” i inni – wszyscy bez wyjątku godni zaufania, że w potrzebie nie zawiodą. Wiedzieliśmy, że w razie walki, zanim nas wykończą zabierzemy ze sobą wielu hitlerowców.

Jedna para koni, skubiąc trawę w ciemnościach zniknęła nam z oczu, ale niezbyt się tym przejęliśmy, bo prowadzenie nawet jednego wozu po bezdrożach i w nocy było nie lada problemem. Na wóz położyliśmy rannych i przy świetle latarek, prowadzeni przez dwóch kolegów znających drogę do Gołębowca – ruszyliśmy w ciemną noc na przełaj przez las. To był koszmarny marsz: wóz podskakiwał na pniakach, ranni jęczeli i przeklinali z bólu, konie chrapały i stawały dęba, tak, że trzeba było je prowadzić za uzdy przy wędzidłach. Za furmanką szło kilku kolegów, którzy przy każdej przeszkodzie podnosili furmankę i pomagali jechać dalej.

Niektórzy mówili, że konie były takie niespokojne, bo na furmance leżał nieboszczyk – nie wiem, ile w tym prawdy.

W takich warunkach przejechaliśmy około 6 km i do Gołębowca koło Lisek dotarliśmy nad ranem. Tam pożegnał się z nami – ze łzami w oczach – ranny w bok szef naszej kompanii. My zaś, ze zwłokami „Górala”, podjechaliśmy w gęsty zagajnik, gdzie miejscowi konspiratorzy pochowali go, a grób tak zamaskowali, że hitlerowcy go nie odnaleźli. We wsi zaopiekowano się naszymi rannymi (przesiedzieli w schowkach kilka dni).

Nas czekał jeszcze, niestety, kilkukilometrowy marsz po wertepach i podmokłych łąkach. Zostawiliśmy miejscowym wóz z końmi, a sami – obładowani dwoma erkaemami i amunicją, zaczęliśmy się przedzierać na przełaj przez łąki. Po prawej stronie mieliśmy tartak i budynek, przeto musieliśmy być bardzo ostrożni. Gdy „przeskoczyliśmy” tor kolejki, przeszliśmy kawałek dalej na skraj lasu i po prostu padliśmy na trawę ze zmęczenia. Pech chciał, że na wartownika „wszedł” mały pastuszek z krowami. Wartownik przytomnie zaczął coś bełkotać po niemiecku, a po chwili i ja podszedłem i płynnie po niemiecku obrugałem pastuszkę, a łamaną polszczyzną wytłumaczyłem, żeby się w tej okolicy nie pętał, bo szukamy polskich bandytów.

Przerwaliśmy odpoczynek i przeszliśmy dalej do wysokiego i gęstego zagajnika – za drogą, nad samym brzegiem lasu. Żaden rozsądny człowiek nie szukałby w takim miejscu schronienia, a jak się później okazało Niemcy myśleli podobnie. Nasz plan był taki, że jeśli uda nam się przetrwać, w nocy przeprawimy się w okolicach Horodła na drugą stronę Bugu.



„Wyga” z „Holownikiem” już w dzień poszli opłotkami do swoich domów, aby sprawdzić teren i zorganizować nam przeprawę.

Po pewnym czasie posterunki wystawione od strony drogi prowadzącej Horodła zameldowały, że drogą z Horodła w stronę Matcza i Lisek przesuwają się Niemcy. Byliśmy więc jak ryba w saku.

Dowódca zarządził zbiórkę, na której omówił sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i podkreślił, że gdyby nas odkryto i zaatakowano, pozostaje nam tylko jedno – walka do przedostatniego naboju, bo ostatni może okazać się niewypałem, a my musimy mieć pewność, że jeden z nich odbierze nam życie. Dziwiliśmy się sami sobie, że nadszedł taki moment, w którym z całkowitym spokojem i stanowczością myśli się o zadaniu sobie śmierci. Dowódca podkreślił, że jedyny dla nas ratunek, to przetrwanie w walce do wieczora, a później wyrwanie się z obławy. Dobra rada, ale w maju dni są bardzo długie...

Od strony bunkrów, w prostej linii 12 km, słychać było wybuchy bomb i kanonadę broni maszynowej, jakby rozgrywała się tam jakaś wielka bitwa. Posterunek znowu zameldował o przemieszczaniu się Niemców drogą w stronę Matcza. Z tyłu za nami usłyszeliśmy nawoływania i wrzawę, ale w miarę upływu czasu odgłosy te zaczęły się oddalać. Czyżby nas zlekceważyli? Około południa przysła do nas siostra „Wygi” z posiłkiem: jajka, chleb i mleko. Poinformowała nas, że nie ma możliwości przedostania się na drugą stronę Bugu, bo z obu stron jest on szczelnie obstawiony wojskiem.

Wkrótce po południu na nasze miejsce postoju wszedł miejscowy chłop, który przyszedł łączyć drewna na opał. Udawaliśmy Niemców, ja po niemiecku zadawałem pytania, a tłumacz pytał po polsku. Spytałem chłopca, leżącego twarzą do ziemi, o nazwisko, po czym natychmiast przekazaliśmy je „Pogromowi”. Okazało się, że to Polak. Niestety, musiał w takiej pozycji pozostać z nami do wieczora. Trząśnięcie się ze strachu jak galareta, więc uspokoił go, że pójdzie do domu, gdy tylko rozprawimy się z polskimi bandytami. Poskutkowało, przestał się trząść. Niemcy jeszcze czasem przechodzili, ale już w małych grupkach; niektórzy przejeżdżali konno. Najbardziej obawialiśmy się, że jakaś grupa zapuści się tutaj z psami, które szybko by nas odnalazły.

W miarę upływu czasu, gdy wieczór był już blisko, zaczęliśmy wierzyć, że tym razem dopisze nam szczęście.

Dzisiaj może się to komuś wydawać dziwne, że nie szaleliśmy z radości, a tylko w milczeniu, ze stoickim spokojem zbieraliśmy się do wymarszu przez pola. Myślę, że po prostu zadziało tutaj ogromne zmęczenie i kilkunastogodzinne napięcie nerwowe.

Wiedzieliśmy, że po takim „łaniu” hitlerowcy będą chcieli się niejako zrehabilitować. Nie przypuszczaliśmy jednak, że zostaniemy aż tak poważnie potraktowani. Wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście uwierzyli w desant.

Ściągnięto około 10 tysięcy wojska, żandarmerii i innych pomocniczych sił policyjnych, z tego po drugiej stronie Bugu użyto do obstawienia granicy około 2 tysięcy ludzi. Już po południu pierwszego dnia obławy (tj. 27 maja) ściągnięto dwa samochody opancerzone i dwa samoloty patrolowe, które widzieliśmy nad lasem.

W dniu 28 maja kilka samolotów rozpoczęło bombardowanie naszego opuszczonego obozowiska. (Po wojnie naliczyłem 16 lejów bombowych, niektóre były bardzo duże. Można je obejrzeć jeszcze dzisiaj. Żadna bomba nie była celna i nie uszkodziła bunkrów).

Nic dziwnego, że po takiej wielkiej wpadce gubernatorowi Frankowi złożono meldunki, w których były same kłamstwa, ale o tym jeszcze napiszę.

Po zapadnięciu zmroku pożegnaliśmy lasy strzeleckie i wyruszyliśmy w kilkudziesięciokilometrowy marsz na przełaj przez pola – na południowe tereny pow. hrubieszowskiego.

Pchor. Karol Bojarski ps. „Wyga” i Witold Kosmowski ps. „Holownik” – obaj z Horodła, pozostali na kilkudniowym urlopie, my zaś – uzbrojeni w dwa erkaemy, dwa pistolety

maszynowe zdobyte w walce, 17 sztuk polskich karabinów i około 30 sztuk granatów obronnych i zaczepnych – wyruszyliśmy w drogę.

Oprócz broni długiej i maszynowej 11 partyzantów posiadało broń krótką, w tym:

- dowódca – Parabellum szturmowe z długą lufą,
- Walenty Korczak „Makolągwa” – pistolet „Hiszpan” kal. 9 mm,
- Zbigniew Skorupa ps. „Szary” – nagan,
- Podchorążowie i podoficerowie – cztery pistolety typu „Vis”,
- B. Józefko ps. „Skoczek” i Leon Miluta ps. „Ryba” – dwa pistolety Fn (belgijki) kal. 7,65,
- Józef Rudnik ps. „Pogrom” i Sergiusz Konopa ps. „Czaruś” dwa Parabellum z krótką lufą.

## **KIERUNEK – POŁUDNIE**

Skierowaliśmy się w stronę hrubieszowskiej szosy, najpierw torami kolejki wąskotorowej, a później na przełaj przez podmokłe łąki; buty i spodnie mieliśmy całkiem przemoczone. Gdy nastał świt, a do lasu był jeszcze spory kawałek, szliśmy miedzami między zbożem, aby tylko szybciej dojść do niego. Byliśmy tak zmęczeni, że każda większa gruda ziemi była dla nas wielką przeszkodą.

Gdy doszliśmy do lasu, to dosłownie padliśmy w krzakach, gdzie kto stał, i natychmiast usnęliśmy. Około południa zmieniliśmy miejsce postoju i bez jedzenia odpoczywaliśmy do wieczora. Po skromnym posiłku – znowu marsz całą noc. Wreszcie nad ranem dotarliśmy do lasów w rejonie Gdeszyna. Gdy odpoczęliśmy, złożyło nam wizytę kilku bolszewików „przechowywanych” przez naszych konspiratorów. Jeden z nich – Walentin Nabokow, były oficer broni pancerniej, szczególnie przypadł nam do gustu. Był miłym, koleżeńskim i kulturalnym człowiekiem. Przez pierwsze dwa dni byliśmy na ich utrzymaniu.

Wspólnie z Sowietami została zorganizowana akcja na Liegenschaft (niemiecki majątek); przewodnikami byli sowieci i kilku Żydów. Wszyscy zaopatrzyli się w żywność, wódkę i po części w ubrania. Niektórzy dostali kilimki do okrycia się; mnie przypadły spodnie, nieco węższe od poprzednich. Koledzy, gdy mi je uroczyście wręczali, życzyli, aby omijały je kule. Poprzednie – bardzo szerokie – zostały w dwóch miejscach przestrelone, gdy wracaliśmy ze Strzelec do obozu.

Następna akcja została zorganizowana na Bereść. Była to wieś obsadzona przez Ukraińców – bardzo dobrze uzbrojonych, w tym w broń maszynową. Między innymi było tam kilku ukraińskich policjantów i kilku z SS-Galizien. Kara śmierci miała być wykonana na ośmiu, wyróżniających się szczególnym okrucieństwem, sługusach hitlerowskich.

Niestety, tylko dwóch zastaliśmy w domach, w tym jednego wyciągnęliśmy z kryjówki. Wyroki zostały wykonane na obydwóch. We wsi podniósł się już alarm i musieliśmy bardzo uważać, gdyż była to jedna z największych baz ukraińskich nacjonalistów.

Kilku z nas podeszło do następnego mieszkania, a ja po niemiecku wezwałem do otwarcia drzwi. Jakaś kobieta zaczęła powoli uchylać drzwi, wtedy jeden z naszych kolegów nie wytrzymał nerwowo i wepchnął w powstałą szparę lufę karabinu. Wtedy mieszkańcy domu zorientowali się, że to podstęp i rzucili się do barykadowania drzwi. Nasz nerwowy kolega strzelił i podobno trafił siedzącą w kącie żonę esesmana. Kolega wpadł do pokoju, a ja razem z „Makolągwą”, po wybiciu okien zauważyłem w świetle latarki, że esesman stoi przy piecu twarzą do nas, ale ręce trzyma za sobą. Wezwaliśmy go, aby je podniósł do góry, a gdy nie zareagował, oświetliłem go latarką, a „Makolągwa” pociągnął dwukrotnie za spust – niestety dwa niewypały. Esesman widząc, że to jego ostatnia szansa, rzucił granat

(na szczęście zaczepny), który wybuchł obok nas, a sam skoczył do komory i tylnym wyjściem uciekł w pola.

Gdy zobaczyłem w jego ręku granat, natychmiast upadłem, tak więc zostałem tylko ogłuszony. „Makolągwa” zaś usiłował odskoczyć za róg domu, ale zawisł na płocie i kilka kawałków blachy wbiło mu się w siedzenie. Lekko ranny został również „Proca”. We wsi podniósł się alarm, zagrały erkaemy i strzelanina powoli zbliżała się w naszym kierunku. Niestety, było nas stanowczo za mało, abyśmy mogli stawić czoło uzbrojonym po zęby ukraińskim nacjonalistom.

Zaczęliśmy się powoli wycofywać, a Miluta ps. „Ryba” powstrzymywał nacierających krótkimi seriami z erkaemu. W lesie pierwszy raz musiałem się zabawić w chirurga. Naostrzonym i zdezynfekowanym scyzorykiem wydłubałem z tylnej części ciała „Makolągwy” pięć czy sześć odłamków blachy.

Postanowiliśmy zmienić miejsce postoju i odeszliśmy serdecznie żegnani przez Sowietów. Każdy las jest nam domem – jak to napisał w pamiętniku „Szary”.

W tym miejscu pragnę podać jeszcze jeden przykład, jak bezwzględne są prawa wojny.

Jeden z bolszewików o imieniu Borys wygadał się przed narzeczoną Ukrainką o naszym oddziale. Sowietci postawili go przed swoim sądem, który skazał go na śmierć. Wyrok na nim wykonał Walentin Nabokow. O tej sprawie dowiedzieliśmy się dopiero po kilku dniach.

W majątku Langa zaopatrzyliśmy się w trzy świnki, dzięki czemu – po tych wszystkich „głodowych” marszach – mogliśmy się wreszcie najeść do syta.

W trzech domach ukraińskich policjantów w Czerniczynie zaopatrzyliśmy się tuż przed Zielonymi Świątami w żywność, a w szczególności w pieczywo, mąkę i cukier. Policjantów nie było na miejscu, dzięki czemu uniknęli śmierci.

Najedzeni, wypoczęci i psychicznie odprężeni tryskaliśmy wręcz humorem. W wyniku dwóch sytuacji stałem się przedmiotem kpin. Myślę, że warto o tym wspomnieć.

W Zielone Świąta odwiedziło nas w lesie kilka pań z miejscowej konspiracji; jedna z nich była – o ile dobrze pamiętam – nauczycielką. Gdy późnym popołudniem wróciłem z patrolu, przyjęcie jeszcze się nie rozkręciło. Poszedłem więc spać, ale poprosiłem, aby mnie obudzono, gdy już będzie kolacja z ciastem, które nam przyniosły panie, i wódką miodówką robioną ze spirytusu. Wcześniej rano obudziły mnie rozmowy. Wstałem i – przy głośnym aplauzie kolegów – wściekły zabrałem się i wyszedłem z obozu. Gdy wróciłem po godzinie, nasz nieoceniony kolega Miluta ps. „Ryba”, który udobruchałby samego diabła, podszedł do mnie i z tym swoim wschodnim śpiewnym akcentem zapytał, o co mi chodzi. Odpowiedziałem, nadal zły, że przecież nie o towarzystwo „wzajemnej adoracji”, tylko o tę miodówkę. Wtedy mi wytłumaczył, dlaczego koledzy tak się ze mnie śmiali, gdy wstałem. Otóż, gdy obudzili mnie w szałasie, usiadłem na legowisku, a jedna z pań podała mi kubek napełniony do połowy miodówką. Na pół przytomnie wypłem to jak wodę i bez słowa położyłem się znowu spać. Spałem sześć godzin. Podobno wszyscy ze zdumienia kręcili głowami.

Druga sytuacja była nieco inna, ale miała miejsce również w tym lesie. Rano nasza mnie chandra, zabrałem więc karabin i poszedłem za obóz. Było chłodnawo, więc usadowiłem się w nasłonecznionym miejscu. Zdrzemnąłem się, ale mimo to w pewnym momencie poczułem jakiś dziwny niepokój. Otworzyłem oczy i zamarłem. Na moich piersiach leżał spory wąż z głową skierowaną w stronę moich ust. Wrzasnąłem i zerwałem się jak oparzony, zrzucając z siebie węża. Ze strachu zostawiłem na miejscu karabin, którego później poszliśmy szukać. Kolegom dostarczyłem tematu do kpin z partyzanta, który porzucił karabin, bo przestraszył się węża. Do dzisiaj nie wiem, czy to był stary zaskroniec, czy jakiś inny duży wąż.

Chyba 15 czerwca nasz oddziałek powiększył się o dwóch partyzantów: Zbigniewa Ziembikiewicza ps. „Smok” i Mariana Leonowicza ps. „Wilczek”. Kilka dni wcześniej przyszedł do oddziału Wacław Jaroszyński ps. „Lis”.

W rozkazie dziennym plutonu podano, że otrzymujemy nazwę „Górali”. To dzięki naszemu dowódcy „Rysiowi” – „Maryśce”, który od kilkunastu dni o to zabiegał. Podano również, że przedstawiono do odznaczenia: Orderami Virtuti Militari – pośmiertnie „Górala”, z żyjących – „Kociubę”, a Krzyżami Walecznych – „Walecznego” i jeszcze jednego partyzanta. Nastąpiła zmiana pseudonimów; ja zmieniłem swój na „Skoczewski”.

Dnia 18 czerwca rozbiliśmy obóz koło wsi Małków – miejscu zamieszkania S. Basaja ps. „Ryś” z BCh. Rozpoczęło się intensywne szkolenie na podoficerów – dowódców drużyn szturmowych. Miał to być kurs 2-miesięczny. Należy obiektywnie przyznać, że w zakresie wyszkolenia bojowego mieliśmy jeszcze pewne braki. Oprócz tego szkolenia prowadzono z każdym indywidualnie szkolenie samoobrony, atakowania przeciwnika w pojedynkę, rewidowania w pojedynkę i zachowania się w przypadku zatrzymania lub aresztowania, w szczególności przy wprowadzaniu do budynku. Szkolenie prowadził podoficer żandarmerii Wojska Polskiego – Józef Rudnik ps. „Pogrom”.

Zajęcia były bardzo ciekawe, ale wymagające od szkolonego odpowiedniej siły, zręczności i odwagi. Szkolenie „Pogroma” bardzo mi odpowiadało i przydało się w późniejszym okresie, gdy po prawie ośmiu miesiącach spotkaliśmy się znowu w kompanii szturmowej dowodzonej przez K. Bojarskiego ps. „Wyga”. Tam zostałem dowódcą 1 drużyny, właśnie u „Pogroma”.

W kilku ukraińskich wsiach koło Małkowa zaopatrzyliśmy się w żywność. Pewnego dnia złożył nam wizytę w lesie St. Basaj ps. „Ryś” z BCh proponując rozbicie kilku mleczarni w celu zaopatrzenia się w masło, śmietanę i ser, a także zdemolowania okupantowi urządzeń.

Poprosił również o pewną przysługę, a mianowicie, żeby sołtysowi, zbyt gorliwie spełniającemu swoje obowiązki wobec okupanta, dać na opamiętanie 20 kijów dębowych. Jako, że dobrze władałem językiem niemieckim (w dialekcie saksońskim), też poszedłem do sołtysa. Wybraliśmy się wieczorem. Poprosiłem po niemiecku, aby natychmiast otwarto drzwi. W kilku weszliśmy do mieszkania, a „Ryś” pozostał na zewnątrz. Oświadczyłem sołtysowi, że jestem Niemcem, ale zrzuciłem żandarmski mundur, aby nie wysługiwać się takiemu zbrodniarzowi, jak Hitler, stąd znalazłem się w partyzantce. Jako, że jest Polakiem, dostaje na ostrzeżenie 20 uderzeń kijem prażonym w ogniu, a nie – jak każe zwyczaj 25 wyciorów żelaznych. Jeśli to nie poskutkuje, czeka go kara śmierci. Podobno do końca wojny był bardzo dobrym Polakiem.

Odwiedziliśmy kilka mleczarni, z których zabraliśmy wszystko, co nadawało się do jedzenia, urządzenia zaś zdemolowaliśmy. Po dwóch lub trzech dniach znowu pojawił się u nas „Ryś” i zdał nam humorystyczne relacje, jak w tych mleczarniach teraz pracują; mają bańki zawieszane na sznurach i huśtają nimi tak długo, aż zrobi się masło.

Często chodziliśmy na kilkudniowe wypadki i zasadzki. Dnia 24 czerwca urządziliśmy zasadzkę na ukraińskich policjantów – około 1 km od stacji Malice. Jednak poprzedniej nocy wyruszyliśmy po zbożach i łąkach do szewca w Malicach, aby zdobyć trochę skóry lub butów. Szewcem był Ukrainiec dobrze zaopatrywany przez ukraińskich policjantów, rabujących, gdzie i ile się tylko dało. W zakładzie nie miał dużo butów, ale sporo skóry, którą zapakowaliśmy do dwóch worków. Po tej nocy byliśmy solidnie zmęczeni. Na dodatek, gdy próbowaliśmy dostać się do sołtysa, ze strychu padły strzały. Sprawca zdążył uciec, ale był to chyba jeden z policjantów. Zmęczenie dało o sobie znać do tego stopnia, że trzech ukraińscy policjanci wymknęli się nam ze stacji.

Bywały dni, kiedy odprężeni i weseli mieliśmy ochotę na żarty i dowcipy. W kawałach celował nasz kucharz Miluta – jak zawsze serdeczny, koleżeński i przyjacielski.

Pewnego dnia ćwiczyliśmy w ramach szkolenia, chodzenie po drzewach (niektórzy skakali jak małpy z gałęzi na gałąź), skoki z miejsca, skoki z rozbiegu oraz skoki o tyczce. Miluta coś w tym czasie gotował i tylko sporadycznie skakał. Mnie te skoki wychodziły lepiej niż jemu. W pewnym momencie, przy skokach z rozbiegu, podchodził do poprzeczki

kilkakrotnie i stale kazał ja podnosić wyżej. Patrzyliśmy zdumieni, bo poprzeczka była już na wysokości jego głowy. Kilka razy próbnie podbiegał do poprzeczki, a przy ostatnim rozbiegu wziął daleki rozpęd i ... swobodnie przebiegł pod poprzeczką. Pokładaliśmy się ze śmiechu, nie tylko z żartu, lecz szczególnie z jego miny.

Dnia 28 czerwca mieliśmy starcie z siedmioma Niemcami Grenzschutzami, którzy przyjechali na polowanie. Poległ wówczas strzelec o pseudonimie „Jastrząb”. Nastąpiła kilkakrotna wymiana strzałów, ale nie znaliśmy wyników tego starcia. Dopiero po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że Niemcy mieli jednego zabitego i jednego rannego.

Nie pamiętam nazwy lasu, w którym się zatrzymaliśmy, w każdym razie było to niedaleko Modryńca. Dnia 6 lipca oddział ponad 100 żandarmów rozpoczął przeczesywanie lasu około 1,5 km od nas. Na szczęście nie doszło do starcia.

W nocy wymaszerowaliśmy na akcję i na szosie zatrzymaliśmy dwa samochody ciężarowe. Zarekwirowaliśmy papierosy, wódkę, skóry i trochę tkanin.

Dnia 4 lipca otrzymaliśmy wiadomość, że Niemcy przygotowują obławę na szeroką skalę. Niemcy poczuli się najwidoczniej zagrożeni na tym terenie. Nasz oddział liczył wówczas tylko 28 osób i gdyby doszło do obławy, nie mielibyśmy szans na zwycięską walkę. Zmieniliśmy więc miejsce postoju i przenieśliśmy się do miejscowości Bereść i Horyszów. Okazało się, że poprzedniego dnia była tam obława, podczas której hitlerowcy zabili trzech Żydów.

Następnego dnia, tj. 5 lipca, mieliśmy starcie z policją ukraińską z Bereścia, która aresztowała dwóch Polaków z konspiracji. Aresztowanych udało się nam uwolnić, ale policjanci zdążyli uciec. Po południu wysłali z Bereścia zwiad, aby zorientować się, co z furmanką oraz co za typy są w tym lesie. Bereść mieliśmy pod obserwacją tak, że wysłanego na przesłpiegi konfidenta przechwyciliśmy pod lasem. Okazało się, że to niezły gagatek. Był zastępcą sołtysa, ale jako wytrawny sługus podjął się wyszcplowania nas. Oczywiście, został niezwłocznie zlikwidowany. Wieczorem czekało na mnie nowe zadanie – udawanie niemieckiego żandarma, bowiem wywiad doniósł, że w Horyszowie przebywa w domu Ukrainiec służący w SS-Galizien.

Przebrany w mundur żandarma wywołałem delikwenta do stodoły na poufną rozmowę. Wyszedł ochoczo i pewny siebie, meldując po niemiecku, że jest niemieckim żołnierzem, esesmanem. Chciałem uniknąć pomyłki, więc zażądałem dokumentu, który mi natychmiast wręczył.

Wszystko się zgadzało, był to obrońca hitlerowskiego ładu. Dostał kulę w łeb, zaś cała rodzina otrzymała chłostę. „Kociuba”, który był ze mną, też był przebrany w niemiecki mundur, tak więc tamci ponoć byli przeświadczeni, że to Niemcy likwidują swoich sojuszników.

Dnia 7 lipca od rana w pewnej odległości od nas, od strony zachodniej słychać było ciągłą strzelaninę. Trwała tam chyba zażarta walka, bowiem często było słychać broń maszynową. Już od kilku dni wiedzieliśmy, że pierścień obławy zacieśnia się wokół nas. My natomiast robiliśmy ciągłe odskoki i dawaliśmy znać o sobie, likwidując konfidentów i kolaborantów, aby nieprzyjaciel nie czuł się zbyt pewnie.

„Szarpaliśmy” ukraińskie i niemieckie jednostki policyjne, gdzie się tylko dało. Intensywne szkolenie dawało efekty – potrafiliśmy szybko się przemieszczać i skutecznie działać. Ale niestety, wszystko ma swoje granice. Ten ciągły ruch powodował, że byliśmy bardzo zmęczeni. Poza tym, w związku z brakiem warunków do należytej higieny, niemilosiernie zaczęły nam dokuczać wszy.

W ciągu dnia doszły do nas meldunki, że obława jest coraz bliżej. Przed wieczorem przyszedł ppor. Ignacy Krakiewicz ps. „Wilk” (brat „Górala”) i przyniósł nam potworną wiadomość, która nas wręcz poraziła: w katastrofie lotniczej na Gibraltarze zginął generał

Władysław Sikorski. Śmierć tego Wielkiego Patrioty uhonorowaliśmy dwuminutową ciszą; wszystkim sływały łzy po twarzy.

Po narodzie dowództwa z ppor. „Wilkiem”, znającym dokładnie sytuację w terenie, podjęto decyzje o rozwiązaniu oddziału. Mimo, że było nam to potrzebne, choćby tylko ze względów zdrowotnych, przyjęliśmy wiadomość z mieszanymi uczuciami.

Wiedzieliśmy, że hitlerowcy zaangażowali bardzo duże siły w obławie, i że nie mamy szans, aby się im oprzeć. Wiedzieliśmy też, że ciągły ruch i odskoki nadwreżyły nasze siły i że potrzebny nam wypoczynek. Wszak dowódca „Ryś - „Maryśka”, ja i kilkunastu innych żyliśmy już tak długo i bez przerwy w tych prymitywnych warunkach – jednak wszyscy zżyliśmy się ze sobą jak bracia i naprawdę trudno nam było sobie wyobrazić, że mamy się rozstać.

„Makolągwa” i ja byliśmy bezdomni, na dodatek nie miałem żadnych dokumentów. Każdy z pozostałych poinformował, gdzie będzie przebywać na kwaterze. My dwaj zaś odpowiedzieliśmy, że nie mamy gdzie iść. Wtedy do rozmowy włączył się ppor. „Wilk” i spytał, czy odpowiadałby nam rejon Dubienki. Tam nas skierował, bowiem pochodził z tego miasteczka i tam miał rodzinę. Mieliśmy się zameldować u ppor. St. Witamborskiego ps. „Mały”, komendanta tamtejszej organizacji AK. Mnie polecił, bym ewentualnie zgłosił się u jego rodziny. Znałem jego siostrzeńca, Zdzisława Krasnowskiego, bo okresowo przebywał w lasach strzeleckich.

Po otrzymaniu fałszywych dokumentów, co by mi pozwoliło na w miarę swobodne poruszanie się po mieście, miałem się zaopiekować „Makolągwą”, bowiem był poszukiwany przez siły policyjne okupanta. Poza tym bardzo łatwo można było rozpoznać „Makolągwę” jako, że był wysoki, barczysty i dobrze zbudowany.

Na pożegnanie przy ognisku wspólnie zaśpiewaliśmy kilka żołnierskich pieśni. Ze wzruszeniem żegnaliśmy się, gdyż zdawaliśmy sobie sprawę, że w tej zawierusze nie spotkamy się już prawdopodobnie w tym gronie. Niestety, nasze przewidywania były trafne. I tak Pluton „Górali”, dowodzony przez „Rysia”-„Maryskę” – przestał istnieć.

Kto chciał, mógł zabrać ze sobą karabin, pistolet czy granaty. Ja zabrałem tylko pistolet Fn (belgijkę) i granaty, a „Makolągwa” nie chciał się rozstać z karabinem. „Pogrom”, „Makolągwa” i ja odeszliśmy w kierunku Dubienki i Horodła. Maszerowaliśmy całą noc, kierując się najprostszymi drogami w stronę lasów strzeleckich.

Z początkiem lipca noce są bardzo krótkie, tak więc niebawem, o świcie, musieliśmy się zatrzymać w pobliżu jakiejś wsi ukraińskiej.

Schroniliśmy się na cały dzień w jakimś zrujnowanym grobowcu. Weszliśmy do środka pomiędzy porozbijane trumny i walające się kości, i przedrzemaliśmy cały dzień susząc sobie przemoczone rosą ubrania i buty.

Po zapadnięciu zmroku opuściliśmy niegościnną wieś, ale gościnnie – bo polski grobowiec. Na odchodnym życzyliśmy spokoju kościom zmarłych i ruszyliśmy w dalszą drogę nie tyle głodni, co spragnieni, bo przecież przez całą noc i dzień nie mieliśmy w ustach żadnego napoju. Z przydrożnych rowów naczepaliśmy wody, aby choć zwilżyć usta.

Kolejna noc miała się ku końcowi, gdy dotarliśmy w pobliże lasów matecko-strzeleckich. Tu pożegnaliśmy się z „Pogromem”, który szedł do Horodła, zaś „Makolągwa” i ja zdecydowaliśmy się mimo wszystko zająć na jakieś chłopskie podwórko, aby się napić wody ze studni. Napiliśmy się, ile tylko mogliśmy w sobie zmieścić, ale gdy zobaczyliśmy w studni bańkę z mlekiem – pokusa okazała się zbyt silna. Piliśmy to mleko ze śmietaną jak dzikusy, kątem oka obserwując dom. Chłop obudził się już i wraz z żoną wyglądał zza firanki. Zapraszaliśmy go gestem ręki, aby do nas wyszedł, bo chcieliśmy zapłacić za mleko i poprosić o jakiś garnuszek, ale bał się wyjść i tylko co chwilę zaglądał, co robimy. Pokazaliśmy mu, że zabieramy bańkę z mlekiem, a pieniądze kładziemy przy studni. Daliśmy mu co najmniej dwa razy więcej niż ta bańka była warta.

Po wypiciu wody i mleka przybyło nam sił i szybkim krokiem weszliśmy do znajomych nam lasów. Na wszelki wypadek, aby zmylić ewentualny pościg, szliśmy tym lasem jeszcze kilka godzin.

Gdy słońce zaczęło przypiekać, zdecydowaliśmy się ukryć w gęstych krzakach. Napiliśmy się mleka, ale że zapomnieliśmy zatkać bańkę, znalazło do niej pełno różnego robactwa i much. Jako że nic innego do picia ani jedzenia nie mieliśmy, więc po przecedzeniu przez czystą chustkę piliśmy to mleko jak najlepszy napój.

Wieczorem przeszliśmy jeszcze jakieś 7 km przez las i wreszcie doszliśmy do kol. Jasienica, gdzie mieszkał znajomy Volksdeutsch, który pomagał Polakom i organizacji. O naszym przybyciu zawiadomiono placówkę w Dubience i na drugi dzień wieczorem byliśmy już na miejscu.

Na tym kończę wspomnienia związane z tym oddziałem.

1 S. Żeromski, *Wiatr od morza*.

2 Dubienka, wieś w pow. Hrubieszowskim woj. Lubelski nad Bugiem, 1,1 tys. Mieszkańców(1970), miejsce bitwy wojsk polskich dowodzonych przez T. Kościuszkę, stoczonej w 1792 z wojskiem ros.; dzięki zdolnościom dowódczym Kościuszki Rosjanie nie zdołali zniszczyć armii polskiej; w czasie II wojny świat. hitlerowcy wymordowali ponad 2 tys. mieszkańców...”- *Encyklopedia Powszechna PWN*, Warszawa 1973, s. 628

### **Krótki życiorys Autora**

Urodził się dnia 20.10.1922r. w Wolicy Brzozowej, pow. Tomaszów Lub., z Ojca Piotra i Matki Agnieszki z d. Kisiel.

Do roku 1939 mieszkał z rodzicami a Jasienicy k. Dubienki pow. Hrubieszów, uczył się i okresowo pracował. W kwietniu 1940r. został wywieziony na przymusowe roboty rolne w okolice miasta Calbe n. Saalą.

We wrześniu 1942r. planowana ucieczka do kraju powiodła się i w drugiej dekadzie listopada dotarł do rodziców. W pierwszej połowie stycznia 1943r. rodziców wysiedlono i skierowano do obozu pracy przymusowej w Berlinie. On zaś dnia 15 stycznia 1943r. złożył przysięgę i jako partyzant AK rozpoczął walkę z okupantem na terenie pow. Hrubieszowskiego i na Wołyniu. Z bronią w rękę walczył do dnia 22.07.1944r.

Dowódcy oddziałów, w których walczył: K. Wróblewski ps. „Ryś”, „Maryśka”, ST. Witamborski ps. „Mały”- Dubienka i Binduga na Wołyniu 27 WDP AK, Karol Bojarski ps. „Wyga”.

W lipcu 1944r. otrzymał stopień plutonowego.

W sierpniu 1944r.- udział w zgrupowaniu pomocy dla Powstania Warszawskiego, po tym ucieczka przed represjami do Chełma. Od września 1944r.- pobyt na punkcie rozdzielczym na Majdanku. Od października 1944r. do marca 1945r.- służba w I Ofic. Szkole Broni Pancernej w Chełmie.

W czerwcu 1944r. przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Walecznych oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Odznaczony dwukrotnie Medalem Wojska Polskiego, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem AK, Odznaką za Akcję Burza i Odznaką Weterana Walk o Niepodległość.

Dnia 2 marca 1945r.- współudział w dezercji kompani, w której miały być przeprowadzone masowe aresztowania, skazany zaocznie wyrokiem sądu polowego na karę śmierci. Od marca do września 1945r.- służba w oddziale partyzanckim ROAK, dowodzonym

przez Wacława Bojarskiego ps. „Hucuł”. We wrześniu 1945 roku wyjazd do rodziców do Grudziądza- tam ukrywanie się i częściowo nauka.

W marcu 1947r. ujawnił się i rozpoczął pracę oraz naukę do 1950r. Od 1950r. do 1983r. praca przy robotach wodno- melioracyjnych w charakterze kier. budowy i kier. grupy robót. Od 1983r.-emerytura.